

ŚWIAT



Nr. 49. 7. XII. 1935



**NA LODOWCU
POLAKÓW
W POBLIŻU
SZCZYTU
ACONCAGUY**

(z książki
dr. Jodko-
Narkiewicza
„W WALCE
O SZCZYT
ANDÓW”)

WIELKIE PREMJUM GWIAZDKOWE

»ŚWIATA«

200 PRENUMERAT ULGOWYCH

Dwustu pierwszych prenumeratorów, którzy do dnia 20 grudnia wpłacą bezpośrednio do Administracji „Świata”, Warszawa, Szpitalna 12 lub na nasze konto w P.K.O. Nr. 3755 złotych 40 (czterdzieści) – otrzymają za tą wyjątkową, ulgową cenę CAŁOROCZNĄ PRENUMERATĘ „ŚWIATA” na rok 1936. Ponadto pierwszych 100 wpłacających otrzyma jako dodatkowe premjum gwiazdkowe, dwa bilety do jednego z teatrów warszawskich do wykorzystania w ciągu I kwartału 1936 r.

200 prenumerat ulgowych

100 premij teatralnych

w postaci biletów na 2 osoby.

Trzecie premjum stanowić będzie

50 nagród niespodzianek

(książki i płyty muzyczne) dla 25 najdawniejszych naszych prenumeratorów oraz dla 25 nowych prenumeratorów, którzy pierwsi dokonają wpłaty złotych 40-u w oznaczonym terminie



Nagrodę Nobla w zakresie chemii otrzymała córka genialnej uczonej Marji Skłodowskiej - Curie, pani Curie - Joliot oraz p. Joliot. Jest to jedyny wypadek na świecie, aby to zaszczytne wyróżnienie po raz trzeci przyznane było w tej samej rodzinie.

ZAPISZ SIĘ
NA CZŁONKA
L. O. P. P.





For. Jan Ryś Ś. p. Piotr Choynowski.

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXX. Nr. 49
7.XII.1935

JAN LORENTOWICZ

PIOTR CHOYNOWSKI

(WSPOMNIENIE)

Pożegnaliśmy nazawsze wybitnego pisarza i prawego człowieka, którego cały, niedługi żywot tworczy cechowały: skromność i dyskrekcja. Powojenny rozgwar w literaturze, reklamowy i samochwalczw—ominał Choynowskiego szczególnie. Nie grzmiały fanfary przy narodzinach nawet tych jego utworów, które mu zjednywały coraz szersze koła wielbicieli i utrwalały chwałę jego rzetelnego talentu. Walczył od wielu lat z chorobą piersiową, a w krótkich przerwach — pisał w ciszy i skupieniu.

Nie pora dziś na szczegółową analizę poszczególnych utworów Choynowskiego. Znaczenie ich odsłoni się całkowicie dopiero w perspektywie czasu. Stojąc nad świeżą mogiłą pisarza, zwracamy się pamięcią ku jego dziełom reprezentacyjnym. Nasuwa się wniosek, że Choynowski był przede wszystkim urodzonym nowelistą w najlepszym stylu. Za jego to sprawą nastąpiło w literaturze odrodzenie noweli jako odrębnego rodzaju twórczości. Arcydzieła nowelowe Sienkiewicza i Prusa wywołały swego czasu tak liczne i tak słabe naśladownictwa, że już na wiele lat przed wojną wydawcy nieufnie

brali do ręki manuskrypt autorski z napisem: „nowele”. Utrwalił się tą drogą przesąd, że „publiczność nie lubi rzeczy składowych”. Tymczasem istota sprawy była inna: nie zmieniły się predylekcje „publiczności”, ale osłabła wartość samych nowel, pod których nazwą chciano przemycać najbliższe notatki życiowe, „drobne wypadki” z dzienników, rozszerzane do rozmiarów wielu stron. Nowela jest może najtrudniejszym rodzajem opowieści: wymaga doskonałości rysunku, zwartej treści, naturalnego wdzięku i swobodnej narracji. O wartości jej decyduje nie temat i anegdota, ale specjalny gatunek talentu, zupełnie odmiennego, niż talent powieściopisarza.

Piotr Choynowski okazał nieocenione dary nowelisty: jędrną, obrazową, plastyczną polszczyznę, lekkość opowiadania, czarujący uśmiech ironisty, dobre poczucie stylizacji tematu, przystosowanej do środowiska i epoki. Zbiór nowel, zatytułowany: „O pięciu panach Sulerzyckich”, najprzedniejsze dzieło Choynowskiego, wejdzie niewątpliwie na stałe do skarbcza utworów literatury. Cztery nowele zbioru dotyczą epok dawnych, trzy — czasów dzisiejszych. W dziejach „pięciu panów Sulerzyckich” jesteśmy w atmosferze nierzędu szlacheckiego w epoce saskiej, gdy brat — szlachcic nie odróżnia *fas* od *nefas*. Opowieść znakomicie utrzymana w tonie, jest mistrzowsko napisaną kartą obyczajową i znakiem studjum charakterów. Nie mniej świetnie analizuje Choynow-

ski psychologię szlachty z początku osiemnastego wieku, jak np. owego wojewodę, który świadomie skrzywdził na majątku sąsiada i staje wobec niezrozumiałego dla niego faktu, że mizerny księżyna, jego młody kapelan, odmawia mu rozgrzeszenia na spowiedzi. Obraz uroczystego najazdu wojewody na tegoż sąsiada, aby publicznie wyznać swoją winę, należy do pierwszorzędných fragmentów narracyjnych. Z Polski dawnej przenosi się Choynowski z całą swobodą na posiedzenie członków Konwencji Narodowej, gdzie daje sztychowe portrety wybitnych działaczy oraz pyszną sylwetkę Buonapartego, ukazującego się w zakończeniu.

Drugim tematem, ku któremu, obok stylizacji historii zwracał się Choynowski najczęściej, były wspomnienia z czasów szkolnych, z epoki wczesnej młodości i epoki działań konspiracyjnych, które go zaprowadziły do służby w Legjonach („Młodość, miłość, awantura”, „W młodych oczach” oraz szereg drobnych nowel). Postacie swych opowieści traktował Choynowski zawsze z humorem i specjalną ironją, które przypominają najlepsze tego rodzaju opowiadania Żeromskiego. W kilku rysach umiał stworzyć *charakter*, który wbijał się w pamięć czytelnika.

W takich skrótach portretowych, bardzo wyrazistych i plastycznych, celował Choynowski zawsze. Zdolność ta uwydatniła się najmocniej w jednym z najoryginalniejszych jego utworów a mianowicie w opo-



wiadaniu „Dom w śródmieściu”. W zwięzłych, jakby filmowych rysach zobrazował tu autor żywot jednej monady miejskiej, to jest jednego domu w Warszawie. Sprawę uprościł sobie w ten sposób, że nie zagląda głęboko do dusz i serc, ale w doraźnych szkicach à la Daumier przesuwając przed czytelnikiem galerię ludzi przeciętnych, którzy mieszczą obok nas, których spotykamy na schodach i nie znamy ich najczęściej z nazwiska, a o których krąży po kamienicy żywa legenda, zaszczipiona przez kucharki i służące, potem kwitnąca bujnie w plotce wszystko wiedzących „paniusi”. Figury, postawione przez Choynowskiego pośpiesznie, — w kilku zdaniach urywanych, w kilku gestach spowiadają się przed nami, nie z tego, coby może same chciały o sobie opowiadać, ile z tego, co warto, abyśmy o nich wiedzieli dla wyodrębnienia „typu”. Dwadzieścia kilka takich typów

tworzy jakby „Dekameron” jednej kamienicy warszawskiej z epoki najazdu bolszewickiego. Kwiat lokatorów stanowią obdarcy kresowcy-uciekierzy, a na resztę składają się: urzędnicy państwowi i prywatni płci obojga, nauczycielki, wątpliwi dziennikarze, paniusie z dziećmi, jeden „znakomity” literat i jakiś nieśmiały oficerzyna, — różne grupki i grupy, mówiące o niczem lub powtarzające potworne banalności codzienne. Administratorem domu jest major Makomaski, którego autor otoczył żywą sympatią i wyposażył w rasowe wady i zalety. Makomaski jest dzielnym żołnierzem, oddanym bezgranicznie ojczyźnie, ale — bez pozy i urozystych namaszczeń. Pan major przypomina fantazją bohaterów „Trylogii”, gdy walczy z Budiennym. Choynowski uśmiecha się przytem dobrotliwie i każe panu majorowi wypowiedzieć w momencie walki takie słowa: „Jeszcze się tu na

Kmicica wykeruję, jak mi Bóg miły!...”

Choynowski był czystej krwi realistą. Patrzał zawsze na rzeczywistość polską pogodnie, z uśmiechem, z wiarą w jej przyszłość, z pobłażaniem. Nie dziwił się niczemu, nikogo nie potępiał, nie wtrącał się rozumowaniem własnym w cudze czyny i myśli. Opowiadał łatwo, ze swadą, ale bez nadmiernych rozwijań tematu. Niektóre jego powieści wywierają wrażenie zbioru nowel. W określeniach swych Choynowski jest prosty: nie szuka zawiłych metafor, bierze pierwsze lepsze porównanie, które się myśli nasunie i umie okraszyć je uśmiechem delikatnej ironji. Plastyką figur, konstrukcją, wolną od wszelkiego przymusu, różnorodnością akcentów i barw w charakterystyce — stanął w rzędzie przednich nowelistów ostatniego pokolenia.

DWIE PIĘKNE KSIĄŻKI

Główna Księgarnia Wojskowa wydała ostatnio dwie książki, które zarówno przez swą treść, jak i niezwykle piękną szatę zewnętrzną, zasługują na specjalną uwagę. Mówimy tu o sprawozdaniu z wyprawy wysokogórskiej w Ameryce Południowej, pod tyt. „W walce o szczyty Andów”, d-ra K. Jodko - Narkiewicza, oraz o książce poświęconej sportowi morskemu, pod tyt. „Wśród wichrów i fal”, gen. Marjusza Zaruskiego.

Książka d-ra Jodko - Narkiewicza opisuje trudy i walki z żywiołem górskim w Andach. Prawdziwie była to walka. Już samo podejście do szczytów, wymagające długiej podróży karawaną po bezdrożach i bezludziu, bez wytyczonych kierunków, było trudem nielada. Baza operacyjna wyprawy leżała w pasie podzwrotnikowym, potem przychodziła skalna pustynia ze straszliwymi skokami temperatury — w dzień 40° gorąca, w nocy mróz 40° — wreszcie szczyty, gdzie ginie wszelka zielen, nie dociera do nich ani puma, ani król wysokiego lotu — kondor. Szczyty, gdzie każde poruszenie, z powodu braku tlenu, staje się męczarnią, gdzie choroba górska „puna” dręczy zahartowanych nawet tubylców, wywołując wyczerpanie i ostateczną apatię. Straszliwe wichury, mogące łatwo stracić w

przepaść wspinającego się na szczyt, sypią piachem skalnym w oczy, wywołują osypywanie się piargów oraz lawiny kamienne lub śniegowe. Wreszcie burze śniegowe szalejące wśród niedostępnnych szczytów — wszystko to daje dopiero obraz tej niebywałej trzymiesięcznej walki, jaką wyprawa wysokogórska stoczyła z przyrodą. Z pośród licznych zdobytych przez Polaków szczytów wymienimy tylko najważniejsze: Mercedario — 6770 m, Pico Negro — 5490 m, Alma Negro — 6120 m, la Messa — 6080 m, Cerro Romada — 6410 m, Aconcagua — 7015 m.

Książka Dr. K. Jodko - Narkiewicza jest wspaniałym reportażem pamiętnikarskim dorastającym w zupełności narracją i walorami literackimi do wielkości dokonanego wyczynu. Czyta się ją jak najbardziej fascynującą i pełną napięcia powieść i ogląda z prawdziwym zadowoleniem estetycznym wspaniałe fotografie w opracowaniu atelier Girs - Barcz.

„W walce o szczyty Andów” jest dziwnie piękną książką, pełną uroku i świeżości prawdziwego czynu.

I dlatego może najbardziej należałoby książkę tę zalecać młodzieży. Stwierdza ona bowiem, że mimo zmechanizowania i zmaterjalizowania naszego życia, jest ol-

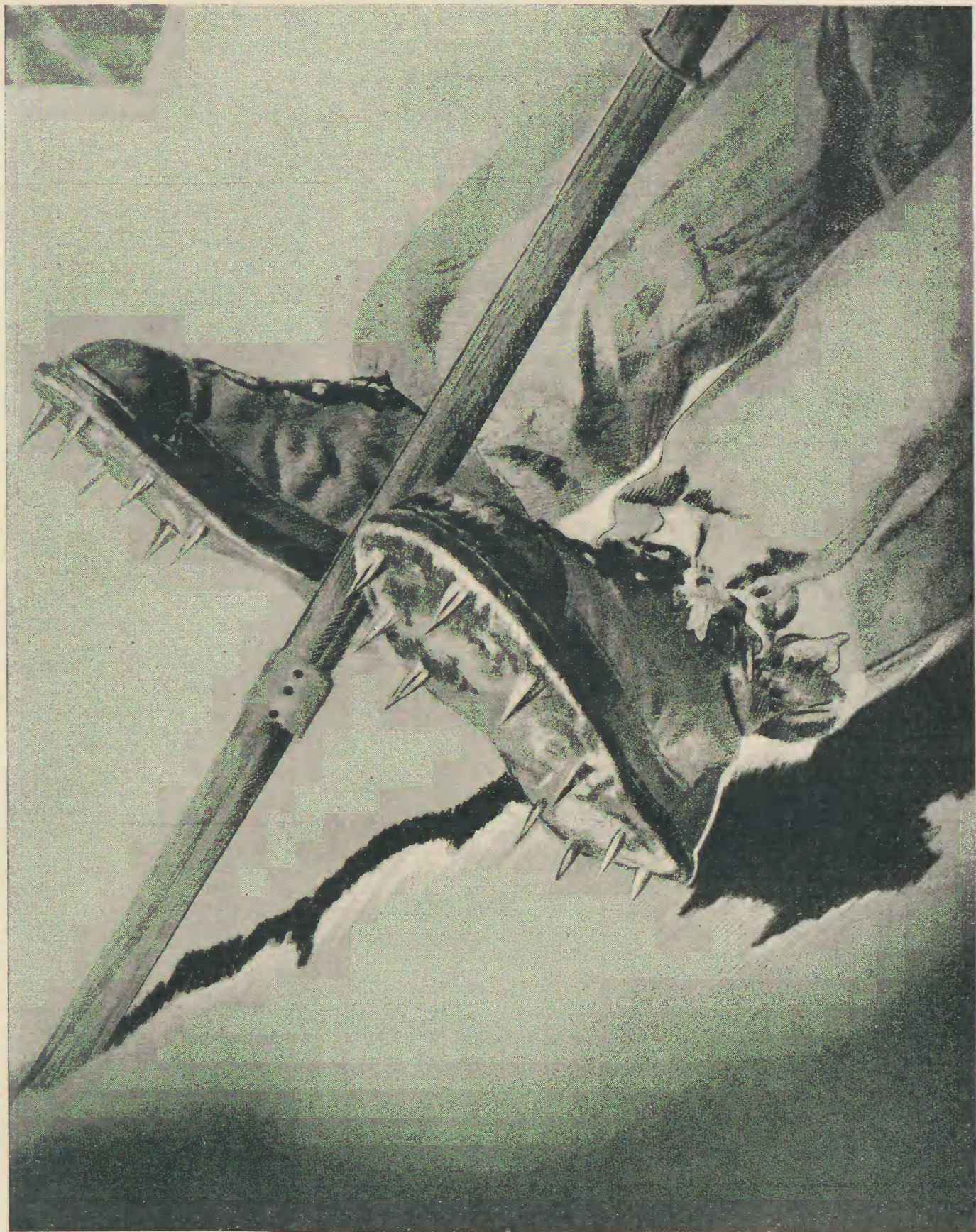
brzymie, wspaniałe i jakże zajmujące pole bezinteresownej i szlachetnej walki dla dobra nauki i ludzkości. Wszystkim, którym jest drogi ten ideał radzimy przeczytać książkę Dr. K. Jodko - Narkiewicza.

Wydana nietylko starannie, ale wprost wspaniale, książka ta ozdobiona jest licznymi całostronicowymi zdjęciami, z których dwa podajemy w dzisiejszym numerze „Świata”. Jedno z nich znajduje czytelnicy na stronie tytułowej okładki, drugie — na stronie 5-ej „Świata”. Oba dają pojęcie o doskonałości i wysokim poziomie artystycznym ilustracji tej książki.

„Wśród wichrów i fal”, gen. M. Zaruskiego, mówi nam o morzu, jego urokach i niebezpieczeństwach.

„Wśród wichrów i fal” to wspomnienie znanego i zasłużonego jachtmena polskiego z długich włóczęg po bezdrożach morskich na małych żaglowcach pod polską banderą.

Ostatni rozdział książki — poświęcony jest podróży, jakie autor odbył na „Temidzie I” z uczniami Ośrodka Morskiego i harcerzami. Znakomita, ciekawa i nader artystycznie wydana książka gen. M. Zaruskiego powinna trafić do jaknajszerszych warstw naszego społeczeństwa, a przede wszystkim młodzieży, by zachęcić ją do życia na morzu, pełnego wprawdzie niebezpieczeństw, ale i dającego niezwykle zadowolenie, hart i znajomość spraw morskich.



„Rakobuty“ — jedna z licznych świetnych ilustracji,
zdobiących książkę d-ra K. Jodko-Narkiewicza
„W walce o szczyty Andów“.

(do recenzji obok).

P O Ł Ó W

Niektóre dziureczki w budżecie

Poco szukać dziur na całym? Dziur autentycznych jest i tak aż nadto. Jak podaje „I.K.C.” — niektóre pozycje po stronie wydatków przedstawiają się w budżecie Państwa dość oryginalnie.

„A więc dowiadujemy się np., że lasy państwowe produkują stale nadmierną ilość podkładów, co następnie zmusza do sprzedawania ich prywatnym odbiorcom po cenach niższych od kosztów produkcji. W r. 1930 w dyrekcji łuckiej wyrobiono około 31.000 podkładów o długości już nieużywanej na kolejach państwowych (!!). Trzeba je było poprostu sprzedać ze stratą 9.000 zł.”

*

„Budowa gmachu centralnej drukarni państwowej w Warszawie postanowiona była jeszcze w r. 1927. Wynikłe jednak nieporozumienia pomiędzy Ministerstwem Robót Publicznych a Prezydjum Rady ministrów doprowadziły do zaniedbania budowy i do zmarnowania rozpoczętych robót ziemnych, których koszt wynosił 100.000 zł.”

*

„Państwowe Zakłady Graficzne nabyły zagranicą dwie maszyny do druku wkłęsłego, kosztem 40.000 dolarów. Maszyny te nie zostały nigdy uruchomione, nie nadawały się bowiem do druku banknotów.”

*

„W salinie państwowej w Wieliczce wybudowano pralnię worków do soli. Pralnia ta, ukończona w lipcu 1930, stała nieczynna do połowy roku 1933, bowiem biuro sprzedaży soli otrzymywało worki, które nie nadawały się wogóle do prania.”

*

„W r. 1933 w salinie państwowej w Bochni znaleziono nierozpakowane skrzynie z maszynami i urządzeniami, przeznaczonymi do uruchomienia elektrowni, wybudowanej w roku 1924. Maszyny te leżały w ciągu 10-ciu lat nierozpakowane.”



Gnębić burżuja!

„Wzbożacie się” — mówi słusznie min. Matuszewski do polaków. „Bo kiedy naród jest bogaty — Państwo też jest bogate”.

Ba, w tem sęk... że w Polsce bogacić się niełatwo. Czasem niełatwo jest nawet swą własność obrobić... właśnie przed zachłannością... władz.

Toczy się w Warszawie od lat 10-ciu proces tego rodzaju. Właścicielom terenów na Czystem dawny Magistrat zabrał „na cele użyteczności publicznej” — dla tramwajów miejskich — „placyk”... 80 tysięcy metrów. Do dnia dzisiejszego, jak podaje „Kurjer Warszawski” w swym sprawozdaniu sądowym, właściciele nie otrzymali ani grosza zapłaty, ani narosłych procentów. Jeden z właścicieli wywłaszczonego obiektu zdążył już umrzeć — W NĘDZY...

Sześć komisji ekspertów kolejno, przez lat dziesięć, szacowało owe tereny — i, nie mogąc się pogodzić co do ich wartości, umożliwiała Magistratowi odwleknięcie sprawy.

Wreszcie definitywnie i na mocy obowiązującej ustawy ustaliła cenę terenu Komisja Wojewódzka, wojewoda ocenę zatwierdził — i nic nie stało na przeszkodzie, aby sprawiedliwości stało się zadość.

Myślicie, że już?

Gdzietam. Magistrat zażądał ponownej ekspertyzy, uważając cenę ustaloną przez wojewodę za zbyt wygórowaną. I sprawa „toczy się” dalej.

Od początku sprawy, t. j. w ciągu lat dziesięciu, trzech właścicieli już zmarło, dwaj adwokaci poszli ich śladami. A ci, co jeszcze żyją, czekają na sprawiedliwość.

P E R E Ł

„Robotnik” o „zdobyczach socjalnych”

Socjalistyczny „Robotnik”, którego trudno posadzić o chęć zabrania klasie pracującej dogodnych dla niej prerogatyw, pisze o ubezpieczeniach socjalnych w Polsce: „Ubezpieczenia w obecnej formie nie mają dla klasy robotniczej żadnej prawie wartości — i albo trzeba mieć odwagę je znieść, albo zreorganizować je i oddać ich kierownictwo w ręce samych ubezpieczonych, tak, by mogły one spełniać swą funkcję i zadanie niesienia pomocy prawdziwej ubezpieczonym”.

Dotychczas pisała tak tylko prasa „burżuazyjna” — i pomawiana była o stronniczość, o chęć odebrania robotnikom cennej zdobyczy. Dziś sami robotnicy widzą, jak dalece cenna jest ta „zdobycz” w swojej obecnej formie...

Wieczne prowizorium

„C'est le provisoire qui dure” — mówią genialnie francuzi.

Rzeczywiście — każde prowizorium ma w sobie jakąś tajemniczą siłę „wiecznotrwania”. Nietylko we Francji, zresztą. U nas także.

Jest w centrum Warszawy ulica. Nienajpodlejsza. Dystygowana, zamieszkała przez „przyzwoitych ludzi”. Nazywa się Hortensja. Jest na tej ulicy szkoła im. Wojciecha Górskiego, do której chodzi kilkuset, a może tysięcy chłopców. I są na tej ulicy trotuary — wołające o pomstę do nieba.

Było tak: kiedyś na tych chodnikach posadzono drzewka. Niepodlewane — co miały robić? Uschły. Więc drzewka słusznie usunięto. Ale zostały po nich doły, ziemne zasadzki w kamiennych chodnikach. Kilkanaście takich zasadzek zdobi łycho wie dla kogo chodniki ulicy Hortensji. I to nie na skraju, broń Boże: na samym środku. Żeby każdy przechodzień mógł w nie z całą pewnością wpaść o zmroku, kiedy ulica nie grzeszy nadmiarem oświetlenia. I żeby chłopcy, wychodząc ze szkoły, mieli „naturalne nierówności” terenu zmarzniętego i śliskiego, na którym można nogi poślizgnąć.

Ten stan rzeczy trwa od kilku lat. Ani drzewek nie zasadzą, ani tych ohydnych dziur ziemnych fliżami betonowymi nie przykryją.

Pocieszamy się, że to drobiazg...

Jedno z wielu wiecznotrwałych prowizorjów.

Dlaczego?

Czytamy w prasie rządowej, że bezrobotni, otrzymujący pomoc żywnościową z Funduszu Pracy, winni są Funduszowi 80 tysięcy dniów *nieodpracowanych*.

Czytamy — i łapiemy się za głowę.

Słusznie wprowadzono przy pomocy bezrobotnym zasadę „nic zadarmo”. Jałmużna upokarza. Wynagrodzenie czy żywność, *dane wzamian za pracę* — podnoszą bezrobotnego na duchu, nie wyrabiają w nim zawodowego lenistwa, nie spychają go słowem na dno ludzkiego upadku.

Więc zasada słuszna.

Dlaczego jej nie zastosowano w całości?

Czyżby Polska już nie miała dróg do sypania, kanałów do kopania, baraków do stawiania, ani wogóle żadnych już potrzeb inwestycyjnych?

80 tysięcy dniówek... nie odpracowanych.

W kraju, w którym *brak dosłownie wszystkiego*.

Ręce opadają.

Najmilsi monopolisci

Obiecano ludności zniżkę kosztów utrzymania, wzamian za nałożone nowe podatki. W pierwszej linii ulec muszą zniżce ceny elektryczności, gazu, telefonów. Podobno nie idzie to łatwo.

Zarząd przymusowy elektrowni warszawskiej już ogłosił, że cena prądu *nie będzie zniżona*. Zato ta sama elektrownia traktuje odbiorców w sposób, urągający elementarnym zasadom handlowym. „Kurjer Poranny” zamieścił przed paru dniami skargę pewnego czytelnika, opisującego, jakie to szkodliwe i nieuprzejmości trzeba wytrzymać, aby... zostać zwykłym drogo płacącym za prąd klientem elektrowni warszawskiej.

Czytelnik ów powrócił do kraju po paru latach nieobecności i nadsz懿ić się nie może — ba, wraca z Europy. Tam na zapotrzebowanie na instalację elektrowni do swego klienta przysyła fachowego pracownika, który na miejscu bada życzenia klienta i oblicza koszty. Tak się robi w Europie.

U nas klientowi — *każe się przychodzić do elektrowni! Osobiście*. I nie klient dyktuje, czego

chce, ale przedsiębiorstwo najpierw urządza istne śledztwo na temat swego przyszłego klienta. Wszelkie — nader liczne — formularze, które obciążono klienta, kazano mu wypełnić, zamiast żeby to zrobił płatny urzędnik elektrowni.

A oto co o gazowni — drugim „monopoliście” stolicy — pisze poseł Stępczyński:

„Proszę np. pofatygować się do gazowni warszawskiej i powiedzieć: panowie, chcę u was kupić gaz, proszę mi wstawić licznik. Ajakże. Jeszcze czego. Gazu mu się zachciewa. A podanie, a deklaracje, a *zaświadczenie od policji*. Tak, od policji. Policja państwowa musi pracować, by gazownia raczyła zwiększyć swe obroty. Bo to przecież nie handel zwykły. To misja społeczna i łaska, no bo gazownia jest przedsiębiorstwem monopolistycznym. Nie lepiej jest zresztą, jeśli ktoś chce kupić prąd elektryczny lub usługi sieci telefonicznej”.

O telefonach opowiemy następnym razem historię ucieśną i niepodobną do prawdy — acz prawdziwą.

Skąd deficyty państwowe?

Nietylko z dygnitarskich aut, ze zbyt licznych gmachów, z napęczniałych funduszy reprezentacyjnych i tajemniczych „funduszy dyspozycyjnych”. Ale także z tych setek tysięcy „młodych emerytów”, których prawem kaduka usunięto ze służby *w pełni sił* i obciążono nimi budżet Państwa — czyli każdego z nas, podatników.

Uu ich jest? Cała Polska ciekawa jest tej liczby.

Co robią? Rozmaicie. Jedni znaleźli sobie posady — i żyją po pańsku: na pierwszego Ojczyzna wypłaca im emeryturę, a nowa po-

sada daje zwykle drugie tyle, albo i więcej.

Inni — nie mieli szczęścia. Tylko z emerytury żyją. Więc umierają z *nudów*. Godzinami wysiadują nad pół czarnej po kawiarniach. Zacztyują się w odcinkach kryminalnych romansów. Rozwiązują krzyżówki. Hodują króliki.

Nieliczni — żeby z nudów nie oszaleć — *poprostu się kształcą*. Człowiek nie ma lat 40-tu, jest w pełni władz umysłowych. Kończy więc jakiś fakultet — i zaczyna nowe życie. W nowym zawodzie.

Jak podaje miesięcznik „Urzędnik Polski na Śląsku” — liczba polskich emerytów — (nie licząc emerytów z epoki państw zaborczych) wynosi przeszło 150 tysięcy.

Większość tych ludzi wcale nie poszła „w odstawkę” z powodu przekroczonej granicy wieku. I tu są poważne oszczędności do zrobienia w budżecie Państwa: wziąć ich wszystkich z powrotem do roboty. Nie utrzymywać tej falangi *sztucznych emerytów*, których płaci coraz bardziej wynędzniały płatnik podatków.

Spieszyć się — czy żyć?

Ugo Ojetti, najznakomitszy dziś włoski krytyk sztuki, tak określa swój stosunek do manji szybkości, jaką owładnięte jest nasze pokolenie:

„Nie jestem „szybkościowcem”, jeśli wolno użyć takiego niezbędnego dzisiaj neologizmu. Jestem człowiekiem rozsądnym, a nawet spokojnym, który z radością podróżuje po ziemi, w powietrzu i na wodzie z szybkością jak największą, kiedy tylko nadarzy się okazja i kiedy mu to jest wygodne. A wygodę swoją mierzę podczas takiej szybkiej podróży — możliwością myślenia o czym innym, nie tylko o tej nowej i zdumiewającej szybkości mojej jazdy”.

Ujęcie stosunku człowieka głęboko kulturalnego do wynalazków technicznych odznacza się w tym zdaniu Ojettiego nietylko maksymalną prostotą, ale i iście łacińskim darem określenia równowagi zjawisk. *Jeżeli szybka jazda przeszkadza mi myśleć — staje się celem sama w sobie*. Jeżeli technika zabija myśl — staje się nie rozszerzeniem horyzontów duchowych ludzkości, ale ich zacieśnieniem.

O tem się często zapomina.

Uparty nurek.



Z PRACOWNI STEFANA NORBLINA

wyszło ostatnio kilka portretów Marszałka Piłsudskiego, przeznaczonych dla instytucji państwowych i do prywatnych zbiorów. Portrety te odznaczają się odrębnym ujęciem postaci Marszałka – nie mają bowiem w sobie żadnej oficjalnej sztywności i stawiają sobie za cel scharakteryzowanie Marszałka z podkreśleniem Jego cech indywidualnych, humoru, ironji, czy dobrotliwego uśmiechu.



S. Norblin

Portret Marszałka Piłsudskiego
(własność pułk. A. Rudnickiego)



S. Norblin

Portret Marszałka Piłsudskiego

Polska widziana z siodełka roweru

Wrażenia anglika z objazdu Polski

Znajomość spraw polskich w Europie Zachodniej poczyniła w ostatnich latach znaczne postępy, Polska jednak pozostaje jeszcze krajem mało znanym i prawie że jeszcze egzotycznym. Jeżeli mierzyć ten stan uświadomienia opinii europejskiej rodzajem produkcji literackiej naszych spraw dotyczącej, jesteśmy w okresie publikacji ogólnie - informacyjnych, o charakterze przeważnie encyklopedycznym oraz opisów podróży do Polski. Taki właśnie opis podróży po Polsce, pod tytułem „Pedalling Poland”, pióra Bernarda Newmana ukazał się w dniach ostatnich na półkach księgarskich. Autor tej pracy, nie pierwszej wychodzącej z pod jego pióra (przed paru laty zaledwie ukazał się jego opis podróży po krajach naddunajskich) opisuje wycieczkę do Polski, którą objechał całą dookoła na rowerze. Napisana bardzo żywo, zawierająca szereg trafnych obserwacji, przyjemnie zabarwiona specyficznym angielskim humorem stanowi ona nader przyjemną lekturę i znajdzie prawdopodobnie z tego powodu licznych czytelników.

Na tem właściwie możnaby zakończyć notatkę o książce p. Newmana. Warto jednak poświęcić jej nieco więcej uwagi, a to z tego względu, że dostarcza ona doskonałego materiału do studiów nad kwestją, jak wygląda nasz kraj w oczach cudzoziemców.

Zaznaczmy odrazu, że P. Newman przygląda się nam z wysokości swego siodełka bez żadnych uprzedzeń. Przyznaje szczerze, że na sztuce nie zna się absolutnie, co go zwalnia od obowiązku pisania przewodnika po naszych zabytkach, interesują go zaś rzeczy najważniejsze: kraj i ludzie.

Otóż, jako kraj, Polska wrażenia nie sprawia. Jest parę ładnych fragmentów — Kaszubska Szajcarja, Puszcza Białowieńska, raczej ciekawe niż ładne Polesie i przedewszystkiem beznadziejna, nudna, monotonna równina polska. Jedynym fragmentem godnym uwagi są góry, malownicze, inne, a przez to pociągające. Miasta? Te kilka większych dają materiał do kilku uwag, potrzebnej ilości konwencjonalnych komplementów, a Kraków nawet do słów szczerzego zachwytu. Poza tem jednak znowu beznadziejność: mniejsze miasta bez charakteru, podobne do siebie, budownictwo nieciekawe, czerwona cegła na zachodzie, dalej coraz mniejsza ilość domów murowanych, nadmiar budowli drewnianych, a wreszcie, w całym kraju, jakże daleko odbiegające od standartów europejskich miliony

chałup chłopskich. Uroku naszego krajobrazu nie podnosi specjalnie pogoda. Autor miał nieszczęście trafić na szereg dni deszczowych, które zupełnie popsuli mu n.p. pobyt w Zakopanem. — Zwiedzając pod ulewnym deszczem Zakopane, mówi autor, miałem sposobność usłyszeć jeden z najlepszych w życiu dowcipów. Na zapytanie bowiem co do przeznaczenia interesujących go budynków usłyszał w odpowiedzi, że jest to suszarnia tektury. Jakgdyby coś wogóle mogło kiedyś wyschnąć w Zakopanem!

Pozatem sprawa dróg.... Można sobie wyobrazić wrażenie, jakie mogły zrobić polskie drogi na anglika jadącym rowerem. Niema rozdziału, w którym nie byłoby na ten temat kilku przyjemnych obserwacji. Trzeba mu oddać sprawiedliwość, odnosi się on do tej sprawy z dużą wyrozumiałością, tłumacząc sobie stan naszych dróg długoletnim zaniedbaniem zaborców oraz wyjątkową naszą dzisiejszą biedą. Na karb tych przyczyn nie może tylko zrzucić stanu dróg podwarszawskich, w tym jednak wypadku na szczęście nie mówi, co naprawdę myśli. Na marginesie mała uwaga: czy przygodni informatorzy, których miał setki P. Newman, nie przesadzają zbyt w tłumaczeniu stanu dróg łatwym argumentem wyjątkowej nędzy? Argument taki bowiem może być z gatunku kijów o dwu końcach.

Lud? Poza łowiczanie, a zwłaszcza huculi, w których autor jest rozkochany, nie sprawia większego wrażenia. Ogólne wrażenie jest raczej miłe, gościnność i serdeczność chwilami nawet krępują, przygodna jednak obserwacja pozostawia wrażenia indolencji, braku inicjatywy, pewnej cikliwości i brudu. Jakże charakterystyczne, dwukrotnie przez autora podkreślane, jest bierne zachowanie tłumu w razie wypadku. Dziwnem zresztą byłoby, gdyby nasz niezwykły talent do tworzenia zbiegowiska i bezczynnego gapienia się w razie najmniejszego wypadku uszedł uwagi tak spostrzegawczego obserwatora. Te cechy charakteru narodowego dziwnie muszą się w umyśle autora kojarzyć z bogactwem naturalnym kraju, którego wielkość ocenił naocznie, którego zaś zasoby demograficzne i przyrodzone z pewnem zdumieniem spostrzega poprzez karty Małego Rocznika Statystycznego.

W paru wypadkach tylko sprawiają uwagi autora wrażenie nie tyle subiektywne, co raczej niesprawiedliwe: gdy mówi o kolejach, wydając sąd ogólny o

ich powolności na podstawie przejazdu jakimś miejscowym pociągiem do Łowicza, oraz gdy mówi, i to w paru miejscach, o armii polskiej. W tym ostatnim wypadku przebija w jego nieco ironicznych uwagach o otaczaniu aureolą legendy mało znaczących wyczynów młodej armii polskiej pogląd kombatanta z Wielkiej Wojny, dla którego jedyną wojną prawdziwą były walka pozycyjna, nasze zaś zmagania z armją czerwoną, połączone z forsownymi marszami, nie wyglądają poważnie.

Myliłby się jednak czytelnik, przypuszczając, na podstawie tych moich uwag, że wrażenia P. Newmana są tylko ujemne. Jest to tylko wrażenie ogólne, odbicie pierwszych reakcji człowieka Zachodu w zetknięciu z naszą polską rzeczywistością, która tak często odbiega od pojęć i wymagań tego Zachodu. Po zgłębieniu szczegółów, znajdujemy cały szereg sądów dodatnich, a nawet pochlebnych, na temat grzeczności polaków, kultury polskiej, wysokiej inteligencji kobiet, dobroci i taniości utrzymania, uprzejmości policji i t. p. Pierwsze jednak wrażenie pozostaje: nędza i prymityw.

✱

Na zakończenie słów kilka o kilku specjalnych rozdziałach książki, traktujących o problematach politycznych. A problemów tych w Polsce nie brak: sprawa korytarza na północnym zachodzie, Śląska na południowym zachodzie, ukraińska na południowym wschodzie i wileńska na północnym wschodzie, w środku zaś zagadnienie żydowskie. Trzeba autorowi oddać sprawiedliwość: we wszystkich tych sprawach stara się on zrozumieć stanowisko Polski, w większości wypadków przyznaje temu stanowisku rację. Samo jednak ujęcie tych faktów daje przykry nieco obraz Polski dręczonej ze wszystkich stron przez kwestje polityczne istotne a nierozwiązalne. Przykre wrażenie, jakie odnosi pod wpływem tych uwag czytelnik, wynika jednak nie z tego, że sformułowanie sądów następuje po bardzo pobieżnym zaznajomieniu się z tematem, jak to zwykli czynić podróżnicy, lecz raczej z tego, że cudzoziemiec przybywający do nas jest przekonany o istnieniu tych zagadnień i tylko z większą lub mniejszą bezstronnością stara się zebrać na miejscu nieco faktów i wrażeń, któreby mogły jego zgóry zwykle ustalone tezy ubrać.

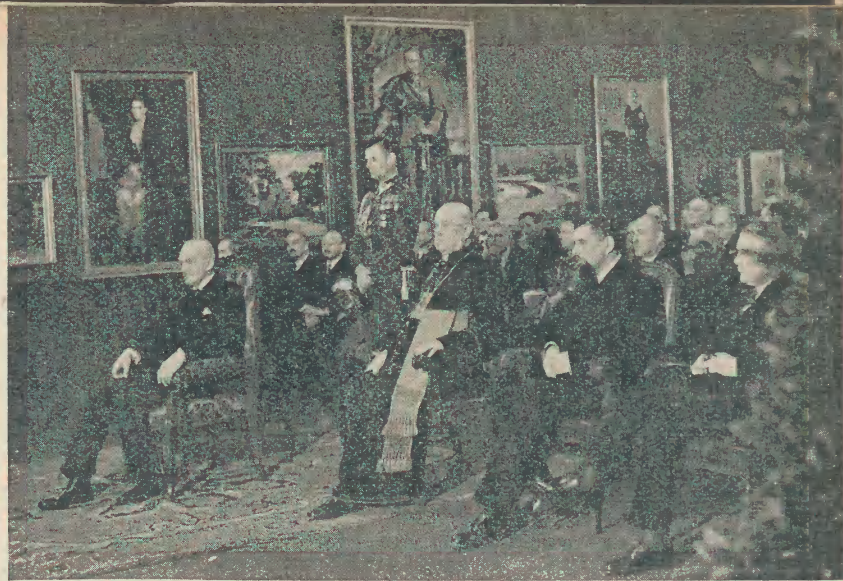
Na tle tych kilku uwag powstaje pytanie, czy naprawdę możemy mówić o przyciągnięciu do Polski ruchu turystycznego z zagranicy? Opinji bowiem terenu interesującego nie zyskuje się oprowadzając turystę za rękę po wytkniętych szlakach. Trzeba mu uprzystępnąć kraj cały, ale aby to zrobić trzeba chyba pracy całych pokoleń.

m. r.

Z ŻYCIA ARTYSTYCZNEGO STOLICY



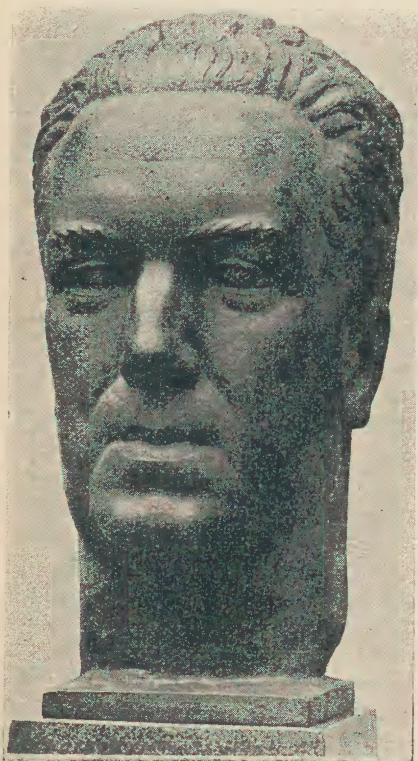
Jury jubileuszowego Salonu Zachęty. Pośrodku zasłużony prezes Zachęty p. St. Brzeziński i art. rzeźbiarz Ant. Madeyski



Tow. Zachęty do Sztuk Pięknych obchodziło uroczystie 75-tą rocznicę istnienia. Na jubileusz zasłużonej instytucji przybyli Pan Prezydent Rzeczypospolitej prof. Ign. Mościcki z Małżonką, ks. Kardynał Kakowski, min. Chyliński, liczni przedstawiciele rządu z premierem M. Kościłkowskim na czele, świat artystyczny i niezwykle liczne zastępy publiczności.



Z WYSTAWY W I. P. S.-ie



NAGRODA STOLICY

w dziale plastyki przyznana została w roku 1935 młodemu rzeźbiarzowi A. Karnemu, którego dzieło zamieszczamy o b o k



Karol Larisch.

„Nad potokiem“.

Wśród ostatnich wystaw w I. P. S. wyróżniła się wystawa pośmiertna obrazów młodego malarza, Karola Larisch'a, który tragicznie zginął przed kilku tygodniami w wypadku motocyklowym.

PARYŻ WE MGLE

(Koresp. wł. „Świata”).

Kiedy promienie letniego słońca jak radosna kaskada spadną na ogród Luksemburski; kiedy wszystkimi barwami zagrają na zwałach peonij, dalij, tulipanów, róż; kiedy zanurzą się w basenie, gdzie żagielki stateczków igrają na wodzie wśród nagich dzieciennych ramionek, kolanek i wielobarwnych kokardek rezolutnych Germaines, pewnych siebie George'ów czy Pierre'ów; kiedy rozłożą się niedbale na miedzianej kopule senatu — *piękny jest Paryż!*

Kiedy strumienie deszczu omyją, wylśnią asfalty Avenue de l'Opera, a wielkie krople z powagą padają na lśniące od latarni, od wystaw sklepowych, od reflektorów aut tafle betonu i asfaltu, kiedy łamią się światła na czystej, wypolerowanej przez deszcz powierzchni ulic, kiedy czarne, luksusowe auta, gibkie jak gondole weneckie, suną milczące, dostojne, rasowe — a iskry światła wystrzelają z pod kół, ze ścian, dachów — *piękny jest Paryż!*

Kiedy melancholijne jesienne słońce spowite mgłą unosi się nad wspaniałą perspektywą Tuilleries i ze swej stratosfery spogląda na przychwycone szronem i otulone watą mgły — trawniki, posągi, resztki chryzantem, pommnik Gambetty i wspaniałe wnętrza Luwru — *piękny jest Paryż!*

Piękny jest, gdy tłum tańczy i bawi się na ulicach, gdy manifestują i kolumnami ciągną związki przez Champs des Elysées do Łuku Tryumfalnego, piękny, gdy się bawi, buntuje, grozi rewolucją lub skupia w patryjotyzmie.



Min. Herriot

(karykatura Vertesa)



Premjer Laval

(karykatura Vertesa)

Dziś mgła spowiła Ville Lumière. Stłumione są kroki przechodniów, watą opatulone głosy, watą przysłonięty horyzont — w tej mgłę kąpią się nie tylko gmachy, auta, skwery, ogrody, ulice — w tej mgłę z pewnym niepokojem precyzyjna, logiczna myśl francuska szuka wyjścia, szuka lepszej, mniej niepewnej doli.

Bo piękny, ruchliwy, swawolny, pracujący, żartobliwy Paryż — nie lubi żyć z dnia na dzień; troska o jutro, o przyszłość, o regularność, stabilizację stosunków jest szóstym zmysłem każdego Francuza. Zarówno tego, co czytając światowe „Figaro” macza swego croissant'a w czekoladzie porannej, jak i tego, co na ławce ogrodowej zaczyna swój „suchy obiad”.

A dziś troska i zaciekawienie koncentrują się przy słowie: wybory. Paryż — niezależnie od chwilowego zwycięstwa Lawała w parlamencie — musi dokonać wyboru.

Wyboru między Lawałem, Herriotem czy Daladier'em. Mogą być za nimi inne nazwiska — mogą w przyszłej personifikacji nowych gabinetów być inne osoby — *ale ci trzej wyrażają trzy systemy rządzenia, trzy metody urzędzenia Francji.* Wybrać między ładem, porządkiem, burżuazyjną solidnością Lawała — między jego ideą solidarności Zachodu Europy a skrajnym radykalizmem, tępą, zacieklą, doktrynerską, frakcyjną myślą Daladier'a, tego samego, co doprowadził do wybuchu 6-go stycznia, który dziś jest filarem „Front Commun” (Wspólnego Frontu) — frontu obejmującego komunistów kierowanych z Moskwy aż po radykałów-socjalnych. Wybrać między nimi musi Francja, musi Paryż! Na pół drogi stoi Herriot. Herriot nie poddający się komunistom we Francji, ale widzący w ścisłym sojuszu z Sowietami naj-

bardziej wskazany sojusz polityczny. Herriot radykał patosu, niewolnik hasel humanitarnych, Herriot lewicowiec, wyposażony w rozsądek... sprawowanej już władzy. Rozsądek obarezony — poczuciem odpowiedzialności.

Mogą z systemu Laval'a wyłonić się inni umiarkowani, mogą być Tardieu, Flandin, Mandel — różni zupełnie między sobą indywidualnie, ale tego samego ładu społecznego wyznawcy. Mogą zamiast Daladier czy Herriota być Paul-Boncour, Chautemps, Pierre Cot, Steeg, Malvy, Bonnet, Paganon czy inni — będą to odcienie, inne sposoby wykonania — system myślenia jednak zbliżony.

Wybory między systemem, między jego personifikacją dręczą dziś każdego „citoyen'a moyen” przy rozwijaniu porannego dziennika.

Od wyboru systemu i premjera do przyszłych wyborów generalnych, do „konsultacji ludu” krok tylko jeden. A te wybory ukazują się na horyzoncie, choć mgła przesłania wszelkie przewidywania na temat ich wyniku. Są tygodnie, gdy zdaje się, że prawica zdobywa punkty; są inne, gdy zwrot na lewo wydaje się nieunikniony.

Narazie wyborów dokonała „Akademia” — w ogniu walki w ostatniej chwili wyskoczyła i zwyciężyła kandydatura Duhamela. Za parę dni Akademia Goncourtów dokona wyboru swego laureata: „Prix Femina” w literaturze i szereg innych „prix” literackich ma być też lada dzień przysądzonych.

Wybór Jerzego Duhamel'a do Akademii, to nie tylko wybór świetnego stylisty i poety — człowieka, co kult dla piękna języka francuskiego postawił na wyżynach, to również wybór przedstawiciela tej ruchliwej, płodnej, różnorodnej, choć nie rozstrzelonej produktywności umysłu francuskiego. Docent nauk przyrodniczych ze specjalnym uwzględnieniem chemii, fizjologii i histologii, doktor medycyny posiadający na swym koncie przeszło 1500 operacji, autor około 40-tu książek z zakresu: powieści, opowieści, podróży, essayów literackich, kronik, krytyk teatralnych, poezji — kierownik wydawnictwa „Le Mercure de France”, utalentowany flecista — wzorowy ojciec trojga dzieci — oto człowiek, który zadebiutował książką p. t. „Jest tyle rzeczy do zrobienia”.

Zdaje się, że wielu dokonał. A wyborem swym Akademia dokonała czynu przysparzającego jej

„Candide” w dniu walki z rządem Laval'a umieścił tę karykaturę, gdzie byli ministrowie rządu Daladier'a: Cot, Pristler, Chautemps, Frot i ich duchowy teoretyk Blum jak kruki krążą nad parlamentem.



Daladier ex-premier — kandydat „Frontu ludowego”

w Paryżu i Francji popularności i uznania. Głównym „wyborcą” Duhamel'a był François Mauriac — który parę miesięcy temu forsował Paul Claudel'a, ponosząc porażkę. Podtrzymywali Mauriac'a energicznie Abel Hermant, Henri-Robert i Jerzy Leconte. W obozie przeciwnym byli „wyborcy” Ferdynanda Gregh'a — Chaumeix i Chevrillon. Walka nie była łatwa — głosowano czterokrotnie — Duhamel zyskiwał w każdym głosowaniu. Wreszcie zwyciężył. Po wyborach jeden z akademików prawicowych odezwał się do Mauriac'a: „miał pan dziś więcej szczęścia, niż z Claudelem!” „Bo tym razem nie liczyłem na pańskich przyjaciół” — odpalił autor „Gniazda żmij”. Sam Duhamel „w obliczu aktu Akademii” zachował najwyższy spokój i równowagę. Na tydzień przed wyborami wyjechał na szereg odczytów na prowincję. W dniu wyborów miał swą konferencję w Bordeaux. Natychmiast po dokonanych wyborze telefonowano do jego hotelu z Paryża. Nie zastano go — Duhamel wyszedł na swoją konferencję.

— Nie zmienił nic w trybie swego życia — oświadczyła pani Duhamel przyjaciołom, którzy przybyli doń z gratulacjami.

Akademia Goncourtów wybory swe przygotowuje starannie, ustalone już jest nawet menu śniadania na dzień 4 grudnia — dzień przyznania nagrody. Będzie więc kawior, łosoś na zimno, „gigot” baranie, kapłony z sałatą i jarzabki z bechamelem. Menu jest — tylko laureat jeszcze nie ustalony. Wśród największych „faworytów” notują: Maksymiljana Van der Meersch'a, Józefa Peyré, Luc Dietricha i Ludwika Guilloux. Mniej trudnym od tych wyborów politycznych, akademickich i literackich jest obecnie wybór teatru. Wybór spędzania wieczoru etatralnego w Paryżu. Ale o tem już następnym razem.

Vieux Parigot.



KOBIETA — I BASTA!

P O W I E Ś C

Ona sobie wyobrażała, że tego szczęśliwego dnia będzie pogoda! Że wszyscy będą się jej szczęściem cieszyć! Że nastrój w domu będzie nadzwyczajny! Tymczasem nad wieczorem zaczął padać deszcz ze śniegiem, a mama, rozmawiając przez telefon ze stryjem, nawet zapomniała mu powiedzieć o triumfie Marty!

Z tego wszystkiego wynikało, że dla mamy „przebieć się przez życie” oznaczało zupełnie co innego, niż dla jej córki. Poprostu chodziło jej o jakiś prymitywny, czysto zwierzęcy, życiowy sens, podczas kiedy dla Marty „przebieć się przez życie” określało urzeczywistnienie idei twórczych. Ach, Boże, Marta czuje, że wpada w patos myślowy!

Jeden tatuś cieszy się! Bierze Martę w ramiona, sadza ją sobie na kolanach i tak z nią siedzi długo, bez słowa. Jest rad... Jest bardzo rad!... Więc chociaż Marcie niewygodnie jest siedzieć na jego kolanach i trzymać głowę na jego marynarce, przesiąkniętej zapachem lekarstw — Marta nie porusza się i nawet przytula twarz mocniej do ojcowskiego ramienia, czując, że tylko w ten sposób może mu wyrazić swą wdzięczność za jego kochaną radość, za pieniądze, wysyłane zagranicę i za stałą wiarę w jej talent!

Na drugi dzień z samego rana wpada Emil, żądając od Marty kilku makiet, które projektowała w Paryżu. Leci właśnie do kabaretu „Folie de Varsovie” i z gołymi łapami nie może wspólniczki zareklamować.

Trzeba będzie otworzyć kufer, stojący w korytarzu.

Naturalnie kluczyczek się gdzieś zapodział, a kiedy się znalazł, to zamek się zaciął. A kiedy wreszcie wieko można było podnieść, przyszła mama i miała dużo do powiedzenia na temat przyjmowania gości w korytarzu kuchennym, wśród tego niesłychanego śmietnika, który zatamowuje przejście do kuchni.

Szkiecowniki, zawinięte w rolkę płótna, akwaforty, sangwiną rysowane głowy, jakieś projekty (z adnotacją, pisaną czerwoną farbą), barokowe ambony, wnętrza, zamki z bajki, stajnie, deszcz gwiazd — wszystko to razem zasało podłogę korytarza, przechodząc z rąk Marty do rąk Emila. Żarówka 25-wieczowa okazała się za słabą, więc trzeba było z tem wszystkim przenieść się do jadalni i tam zakurzyć stół, przykryty oślepiająco białą ceratą i otomanę (przykrytą ułożonymi symetrycznie poduszkami).

Emil wybrał to i owo. Chodziło mu o reklamowy efekt fantastycznych pomysłów, które mogłyby zaciekać, jako najnowsze prądy zagraniczne! (O Paryżu nie pozwolił ani słówka pisać Marcie, krzycząc, że stolica nadsekwańska ma dekoracje „na szmela”, stojące bardzo nisko na giel-



dzie teatralnej). Emil „wywahał” już pismo nosem — cały nastrój kabaretu. Oto „Folie de Varsovie” w połowie sezonu zrzuciło starą skórę, zmieniało zarząd, kierunek literacki, zespół artystyczny, reorganizując wszystko z wielkim hukiem i gwałtem. Emil więc wyczuwał, że należało operować kontrastami, aby osiągnąć pożądaną rezultat. Zamiast skrajnego realizmu byłego dekoratora należało bić w efekt fantazji, powołując się na nowe prądy Londynu i Berlina.

Marta w Londynie była zaledwie dwa tygodnie, a w Berlinie nie zatrzymywała się wcale, ale to nie przeszkadza, on nie pozwala jej o tem mówić! Niech nie będzie głupia! On przecież też zna to wszystko bardzo powierzchownie, a jednak ma zamiar na tem wszystkim „wyjechać” jako na swoim „cheval de bataille”.

Emil ma długi i nóż na gardle. Emil wcale nie ma zamiaru robić głupstw, jak dawne pokolenie Kurzawy, Podkowińskiego, Bałuckiego, które z rozpaczny tłukło rzeźby, rozdierało płótna i strzelało do siebie.

Wreszcie wychodzi.

Marta zbiera swoje manatki i każe zamieść służącej jadalny pokój.



BOURJOIS

PARFUMEUR PARIS

Jest zimno, pomimo że rozpalonych kafli pieca dotknąć ręką nie można.

Jest przykro, pomimo że Emil zabrał trzy makiety, obiecując bardzo ciekawą artystycznie pracę...

MĘŻCZYŹNI

1. PAN BRUNO SZENKER

W ową środę zdjęto zaraz po skończeniu wizerunków z mebli i chodników z posadzek. Wyprawowe fotele pani Tarasowiczowej rozjarzyły się purpurą starego brokatu i bogactwem rzeźbionego orzecha. Zwinięty pod fortepianem (na codzień) dywan rozpłatało na posadzce i wkręcono trzy mocne żarówki do żyrandola i jedną stuwatówkę do bocznej lampy z abażurem. Pokojówka solidny fartuch perkalowy zastąpiła frywolną szmatką koronkową, a taca srebrna, wisząca od lat na ścianie jadalnego pokoju, dostąpiła zaszczytu

dźwignia filizanek od czarnej kawy, pękatej butelki prawdziwego francuskiego likieru i patery z drobnymi ciasteczkami.

Te zabiegi kosztowały sporo zachodu i jeszcze więcej pieniędzy! Pani Tarasowiczowa pokonać umiała swoją oszczędność, spodziewając się wiele po wizycie tego Szenkera.

Szenker przyszedł 20 minut po szóstej, w zwykłym marynarkowym garniturze i jaskrawym kravacie. Pani Tarasowiczowa od razu została tą non-szalanecją pierwszej wizyty niemiłe uderzona. Po chwili nastąpiły inne rozczerowania. Szenker zupełnie tak się zachowywał, jakby był u starych dobrych znajomych. Swą tęgą postać ulokował w najwygodniejszym fotelu! Rękę pulchną, piegowatą i owłosioną prawie zaraz wyciągnął po grube cygaro! Poza tem mówił niewiele i nawet nie facygował się, aby zamaskować znudzenie, rozlane na tłustych, dobrze wygolonych policzkach.

Marty nie było. Spóźniała się.

(c. d. n.).

Ambicje muzealne Jugosławii

Muzea dla współczesnych państw są szczególnie wobec obcych przybyszów jakby „biletami wizytowymi”. Człowiek kulturalny, zwiedziwszy taką placówkę, od razu się orjentuje, z kim ma do czynienia, jaki dorobek wniósł dany kraj do ogólnej skarbnicy sztuki czy wiedzy. Poza tym placówki te świadczą o stosunku obecnego pokolenia do pracy i wysiłków tych, którzy już odeszli, którzy kochali kraj po swojemu i pracowali dla jego potęgi i dobrej sławy.

Kiedy się zwiedza muzea rozsiane stosunkowo licznie po Jugosławii, nabiera się szczerego szacunku do naszych pobratymców. Szczególnie imponująco przedstawia się na tem polu dorobek, który wnieśli do tego najmłodszego Królestwa Europy bracia chorwaci (kroaci), zamieszkujący głównie wybrzeże morskie oraz część północno-zachodnią zjednoczonego państwa serbów, chorwatów i słoweńców (do roku 1929 obecna Jugosławia nazywała się „S.H.S.”).

Na czele kulturalnej misji, którą chor-

waci nieśli na ziemiach południowej słowiańszczyzny (należących niegdyś do Cesarstwa Rzymskiego), siedł Zagrzeb, obecnie centrum życia politycznego Chorwacji.

Zagreb (Zagrzeb) — posiada po za stałą Wystawą obrazów i rzeźb z oryginałami znakomitego o światowej sławie, współczesnego rzeźbiarza jugosłowiańskiego prof. Mestrovica, dwa specjalne muzea: *Narodni Muzej* (przy Szkole Rzemiosł) — zawierający głównie zbiory etnograficzne i współczesnego przemysłu artystycznego, oraz *Umjetnicki Muzej* (Sztuki Stosowanej) — gdzie zgromadzone pamiątki sztuki kościelnej, starożytne meble szlachty chorwackiej, porcelanę i t. d.

Czyż nie jest imponujące, że to, bądź co bądź, prowincjonalne miasto ma kilka b. wartościowych placówek kulturalnych, przyczem każda z nich mieści się we własnym reprezentacyjnym gmachu w śródmieściu (szczęśliwi ludzie).

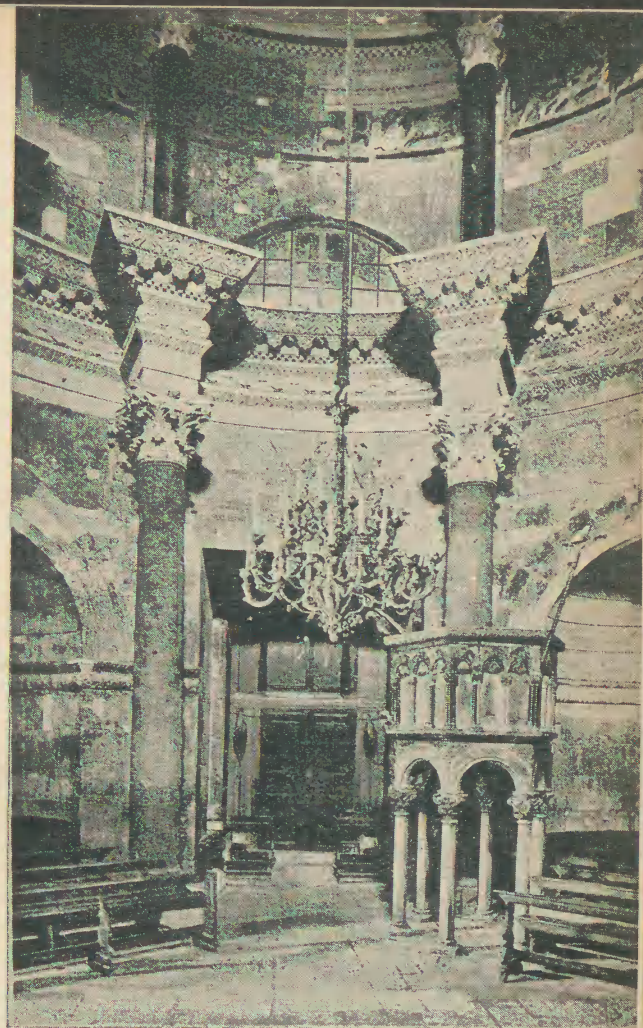
Przykrym dysonansem jest pomieszczenie przy wejściu do muzeum „Umjetnickiego” obok napisu w języku rodzimym również napisu „Musée des Arts et Metiers” — co zbyt często się kojarzy z nazwą znanego Muzeum Paryskiego.

Największe Muzeum w dosłownym tego znaczeniu posiada jednak stolica Bośni, przepiękne *Sarajewo*, nie mówiąc o tem, że również samo miasto jest w obecnych czasach jednym wielkim muzeum, przede wszystkim ze względu na swój klasyczny charakter wschodu.

Gmach miejscowego *Bośniackiego Muzeum Krajowego* przedstawia się wprost imponująco; jest to faktycznie kompleks czterech wielkich reprezentacyjnych gmachów jednopiętrowych, ujętych w czworobok z pięknym ogrodem botanicznym wewnątrz.

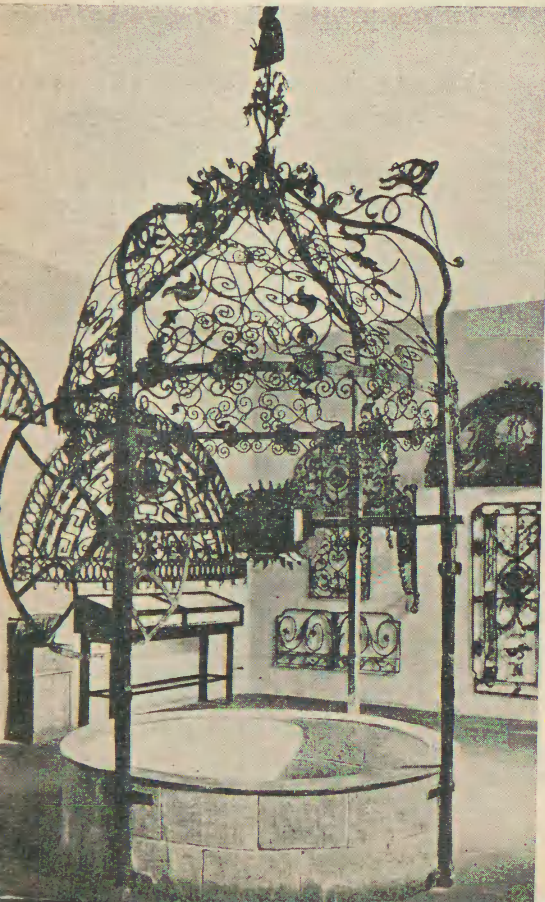
Gmachy te zawierają: a) *Dział archeologii* z uwzględnieniem b. bogatych wykopalisk z pod *Sarajewa* z okresu neolitycznego, b) *Dział miejscowej fauny i flory*, w którym przechowuje się dawno zanikłe gatunki, c) *Dział etnografii*, zawierający oprócz różnych wyrobów ludowych liczne wnętrza z figurami ludu bośniackiego w czasie przeróżnych uroczystości rodzinnych, oraz d) *Dział Malarstwa* (stosunkowo najskromniejszy).

Jak widać z powyższego szkicowego opisu, placówka ta przedstawia się nad wyraz poważnie i niejedna stolica europejska mogłaby *Sarajewu* pozazdrościć tak bogatego i poważnego Muzeum. Liczne wycieczki miejscowe i zamiejscowe



Katedra w Splicie

Muzeum sztuki i rzemiosł w Zagrzebiu. Żelazne ogrodzenie jednej ze studzien w Zagrzebiu z XVIII wieku. Oryginał przeniesiono do Muzeum, kopia po dziś dzień ozdabia daną studnię.



świadczą o roli tego Muzeum w kulturze szerokiego ogółu (wejście do Muzeum 5 dynarów, t. j. ok. 60 groszy; dla młodzieży niższe).

Dwa miasta portowe nad Adriatykiem posiadają również muzea, przyczem *Split* posiada muzeum etnograficzne oraz przyrodnicze z działem flory i fauny morskiej, *Dubrownik* zaś jedno nieduże muzeum, częściowo o charakterze przyrodniczym, częściowo historycznym. Co się tyczy ogólnego wyglądu i architektury tych miast, to każde z nich można nakryć kłosem jako obiekty muzealne, albowiem każda uliczka, portyk domu, a nawet kamień ma wymowę wieków, sięgających epoki rzymskiej. Szereg historyków opisując np. *Dubrownik* nazywa to piękne miasteczko, które niegdyś było stolicą udzielnej Rzeczypospolitej — „słowiańskimi Atenami”.

Pozatem należy wspomnieć o zbiorach starej sztuki chorwackiej w *Kninie*, sztuki słoweńskiej w *Ljublanie* (stolica Słowenji) oraz ciekawych zbiorach archeologicznych w *Skopljach* (południowa Serbia).

W stolicy współczesnej Jugosławii *Beogradzie* (Białogrodzie), mieście, które rośnie wprost z dnia na dzień (buduje się szereg nowych reprezentacyjnych gmachów), turysta-muzeolog trafia przede-

wszystkiem do Muzeum o charakterze gospodarczym. Jest nim „*Trgovackie Muzej*”, zorganizowane parę lat temu, przez Państwowy Urząd Handlu Zagranicznego. Placówka ta nazywa się „Muzeum”, ale jest faktycznie stałą wystawą „prób i wzorów” rolnictwa i przemysłu jugosłowiańskiego. Na pierwszy plan wybija się dział rolniczy, co jest naturalne w tym kraju, wybitnie agrarnym, lecz mamy tu również grupę eksponatów charakteryzujących krajowe górnictwo węgla i rud żelaznych (kopalnie liczne, ale urządzone dość pierwotnie), grupę przemysłu włókienniczego, metalowego (wyroby przeważnie drobne), skórzanego i t. d., wreszcie przetwórstwo i obróbka drzewa.

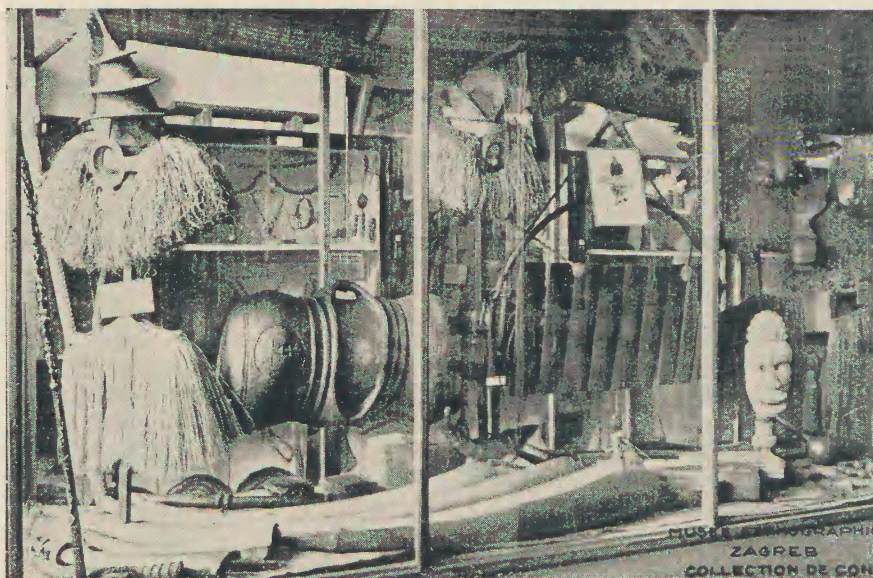
Mądrze i celowo jest zorganizowany Dział Turystyki. Świadczy on, że Jugosławia zaczyna się wysuwać na jedno z pierwszych miejsc w turystyce europejskiej.

Całość zbiorów wywiera na zwiedzającym wrażenie bardzo sympatyczne, gdyż w stosunkowo małym pomieszczeniu (paruset mtr. kwadr.) materiał muzealny ujęto z poczuciem miary i uwzględnieniem strony estetycznej. Gabloty i stoiska są wykonane skromnie, lecz bardzo solidnie, wszystkie napisy drukowane.

Godnym specjalnego podkreślenia jest poza tem fakt, że właśnie ta placówka, a nie przygodne organizacje i wciąż nowi nieznanzi ludzie, zajmuje się urządzaniem pawilonów i stoisk jugosłowiańskich na różnych wystawach międzynarodowych. Okoliczność ta powoduje, że wszelkie wystąpienia na zewnątrz oddają krajowi rzeczywistą korzyść, budżety zaś takich imprez są stosunkowo b. skromne.

Nawet najkrótszy przegląd muzealnictwa w bratniej nam Jugosławii upoważnia do wyprowadzenia wniosku, że kraj ten — jego rząd — nie szczędzi trudów ani środków finansowych, aby sprostać i pod tym względem swoim obowiązkom.

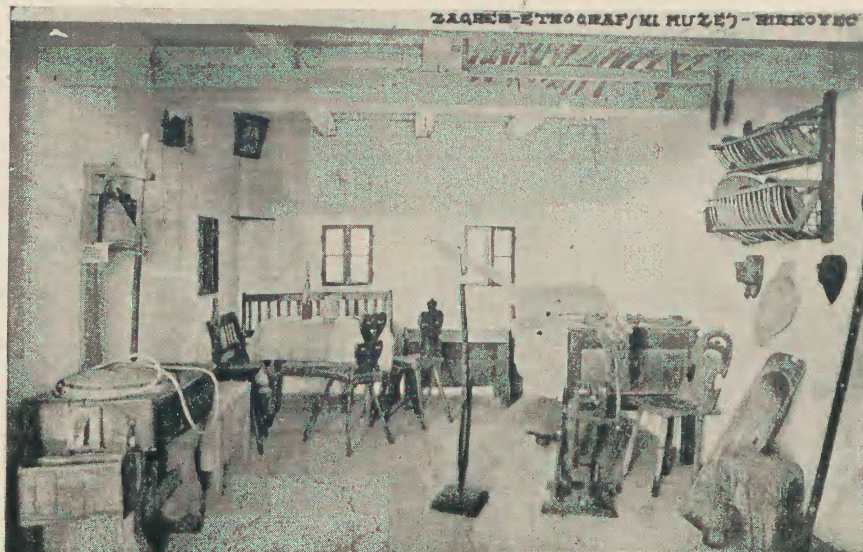
Zwiedzając szereg muzeów jugosłowiańskich, napróżno się jednak szuka zbiorów lub pojedynczych eksponatów, któreby charakteryzowały rozwój i kulturę techniczną tego kraju i mogłyby być drogą wymiany sprowadzone do naszego Muzeum Przemysłu i Techniki w Warszawie. Niestety, pod tym względem nie udało się osiągnąć rezultatów, albowiem Serbja przedwojenna, pomimo niepodległości, była zawsze krajem wyłącznie rolniczym, a Chorwacja i Słowenia, należące do Austro - Węgier, nie miały możliwości rozwijania rodzimego przemysłu, gdyż to nie leżało w interesie zaborcy (podobnie było i z Małopolską). Mimo to ostatnio udało się nawiązać z Jugosławją pewne porozumienie i będziemy szczęśliwi, gdy ze swej strony zdołamy dać jej wzór nowoczesnego Muzeum Przemysłu i Techniki, które między innymi winno zawsze skrzętnie dokumentować wszelkie przejawy techniki ogólnosłowiańskiej.



Fragment Muzeum Sztuki i Rzemiosł w Zagrzebiu



Dzielnica mahometańska w Sarajewie



Fragment Muzeum Etnograficznego w Zagrzebiu

ŚWIAT TEATRU

„Budowniczy Solness” Ibsena w Teatrze „Kameralnym”.

Wytrwale i sumiennie ukazuje nam Adwentowicz co rok, któreś z dawnych arcydzieł Ibsena. Ibsen w historii teatru zajmował tak wysoką pozycję, iż nawet wówczas, gdy technika jego razi nieco, gdy symbolika nabiera cech pewnej naiwności, nawet wówczas siła imperatywu twórczego, który kierował Ibsenem, zwycięża czas. Refleksja i głębsze zastanowienie muszą opanowywać najbardziej współczesnego widza w zetknięciu z wielkim skandynawem.

Nemezis — karząca zły czyn, nemezis nie pozwalająca, by złoty, ciężki plonem kłós wyrósł ze złego ziarna siewnego — to stała prawda, — wyznanie wiary Ibsena!

Zły czyn może dać powodzenie życiowe, doczesne korzyści — ale zwycięstwa ostatecznego nie da. Egoistyczny Solness — powalający swego nauczyciela, barykady kładący na drodze swego ucznia — to człowiek, którego nie stać na radosną odwagę, by stanąć na szczycie swego dzieła i aby własnymi dłońmi je uwiecznić.

Sława, powodzenie, bogactwo Solnessa — powstały z istnienia jednej małej ryśy w kominie. Ta ryśa wywołała pożar — dzięki niej Solness mógł budować wieże. Ale wieńczyć tych wież nie miał odwagi,

ni siły, bo w tym pożarze, który stał się początkiem kariery budowniczego — zginęło dwoje małych dzieci. Dzieci Solness'ów.

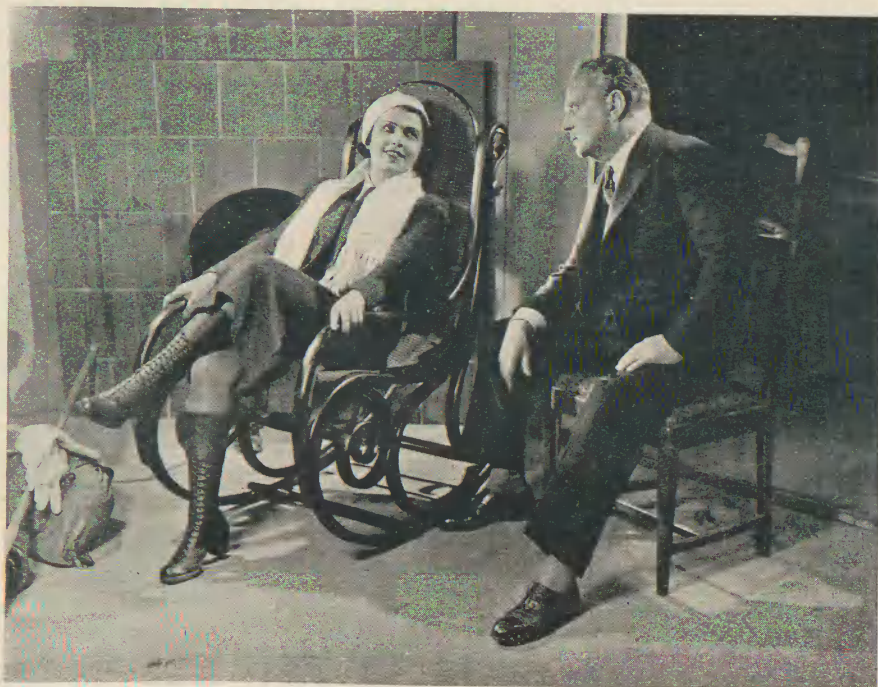
Na takim fundamencie wsparta sława i życie Solnessa — musiały się załamać. Solness runął ze szczytu wieży!

Talent Adwentowicza, szlachetność rysunku odtwarzanych postaci, prowadzenie dialogu sprawiają, że w każdej roli potrafi on nas zainteresować i wzruszyć. Patrząc na wysiłki tego wielkiej miary artysty, na borykanie się tego reżysera i dyrektora teatru Kameralnego — musimy z żalem myśleć o tym „samotnym marginesie”, na którym obecna organizacja teatrów pozostawia takie filary polskiej sztuki aktorskiej.

Jako Hilda Wrangel — p. Grywińska miała szczerość, żywość, wnikliwy umiar i zapał, tworząc sylwetkę inteligentnie narysowaną i przeprowadzoną. Pozostali artyści starali się do poziomu „mistrza” dociągać, dbając o całość i harmonję.

L. Ch.

Z teatru w Wilnie: Lili Zielińska i Mroźewski w „Damach i Huzarach”



Scena z „Budowniczego Solnessa”, Grywińska i Adwentowicz
Fot. St. Brzozowski



Czy wiecie?

oryginalna Aspirina wyrabiana jest obecnie także w Polsce! Nabyć ją można w każdej aptece. Aspirina z krzyżem „Bayer” na opakowaniu i tabletkach działa przy bólach głowy i chorobach z przeziębienia.

ASPIRINA 

Do nabycia we wszystkich aptekach.
Cena za 6 tabl. obecnie już
tylko Zł. 0.90, za 20 tabl. Zł. 2.25



WINIARNIA I RESTAURACJA
dawniej **LANGNER**

MAR. FOCHA 10, tel. 605-24

Wykwintna Kuchnia
Najlepsze Wina

Codziennie żywe HOMARY i OSTRYGI

TRYKOTAŻE
POŃCZOCHY

TRICOT

WARSZAWA
MARSZAŁKOWSKA 123



RECE GODNE POCAŁUNKÓW

to ręce spracowane a jednak białe i aksamitnie gładkie. Pielęgnuje, zapobiega niszczeniu, pierzchnięciu i czerwoności rąk

KREM PRAŁATÓW

„PERFECTION”

TAJNIKI MEDYCyny

Pewien lekarz, praktykujący w małym miasteczku, nie chcąc zasklepić się w jednej specjalności, postanowił wykorzystać sezonową koniunkturę. Jesienią zawieszał przed swymi drzwiami tabliczkę z napisem: Dr. X. Choroby gardła, nosa i uszu. W zimie — zmieniał tekst na: Dr. X. lekarz chorób płucnych. Na wiosnę zaś — napis głosił: Dr. X. Choroby skórne i weneryczne.

*

Angielska choroba. Już od wczesnej młodości rozwijamy w dzieciach manję snobizmu. Zaczyna się zgoła niewinnie — od skrzywienia nóg, a kończy się na parasolu, krawatach z Old England i fanatycznym uwielbieniu Wells'a.

*

Konsultacja — nabieranie na konsula.

*

Dwunastnica: część jelita cienkiego. Posiadają ją jedynie sfery zamożne. Ludzie ubodzy mogą sobie pozwolić zaledwie na ośmiornicę.

*

Wszystko jest względne w ludzkim organizmie. T. zw. stan idealnego zdrowia jest okresem, który nic dobrego nie wróży.

*

Pewien chory przeszedł bardzo ciężką operację. Zabieg się udał, a stan pacjenta z dnia na dzień ulegał stałemu polepszeniu. Niestety, zupełnego wyzdrowienia biedak już nie dożył.

*

Niedawno wynaleziono nowe lekarstwo. Środek o niespotykanej dotychczas sile działania. Obecnie prowadzone są próby nad wynalezieniem odpowiedniej choroby.

*

Pewien lekarz, wielki altruista, zaczął pisywać powieści, nie dlatego jednakże, by posiadał wybitne zdolności literackie, wolał w ten sposób zabijać czas, niż zabijać pacjentów.

*

Inny znów lekarz, zanim został specjalistą laryngologiem, przez parę lat studiował malarstwo. Nie chciał bowiem po dyletancku pendzlować pacjentowi gardła.

Mózg: bardzo subtelny organ, przy pomocy którego myślimy, że myślimy.

*

Jedyną pozytywną rzeczą, jaką dotychczas w życiu osiągnąłem, był wynik reakcji Wassermana.

Włodzimierz Łukasik.

PIĘKNY KRÓJ

TO ZAŁĘTA GARNITURU

ST. GUDOWSKI

długoletni praktyk zagraniczny, podaje do wiadomości, szczególnie P.P. Urzędnikom, że wykonanie garnituru ze względu naostatnią redukcję pensyj, zostało obniżone na zł 50

ST. GUDOWSKI

BRACKA 18 w podwórzu



Jasne, białe światło dają palniki spirytusowe „RUSTICUS” o sile światła 30 lub 50 świec. Mogą być zastosowane do każdej lampy naftowej

R U S T I C U S

KRONIKA LITERACKA

LITERATURA WE FRANCJI

Nowi nieśmiertelni

Paryski sezon literacki w pełni. U szczytu świata intelektualnego Francji stoi, — jak wiadomo, — Akademia Francuska — to też wybory akademickie są zawsze wydarzeniem wielkiej doniosłości, skupiającem zainteresowanie wszystkich.

Tym razem zaledwie 29 nieśmiertelnych zebrało się w dniu 22 listopada celem wyboru dwóch nowych członków Akademii na miejsce zmarłych: malarza Alberta Besnard i historyka Gustawa Lenotre.

O pierwszy fotel ubiegali się: Louis Gillet, J.-L. Vandoyer i Etienne Bricon. O drugi: Georges Duhamel, Fernand Gregh, Pierre Champion, Charles Diehl, Gabriel Faure, Raymond Recouly i Victor Giraud.

Louis Gillet został wybrany w pierwszym głosowaniu o g. 14.30, otrzymawszy głosów 19. Wybór ten był do przewidzenia, bo — szeptano złośliwie — Louis Gillet oprócz wielu zalet osobistych posiada jeszcze ten atut, że jest zięciem możnego sekretarza dożywotniego Akademii. Ale że zalet istotnych p. Louis Gillet nie brak, najlepszym dowodem jego sylwetka, jaką szkicuje w „Les Nouvelles Littéraires” p. Léo Largnier. Gillet jest... „stworzony trochę na wzór tych ludzi, dla których istnieje na ziemi coś innego, niż sprawy pieniężne, którzy zajmują się ostatecznym wydaniem Virgila, lub Rabelais, jeśli nie architekturą średniowieczną...” Odrzuć go w zadumie, z okiem żywym, ale napół przymkniętym spoza szkieł, „że lubuje się w najbardziej niedostępnych rozmyślaniach, że kocha katedry i angielskich poetów, prymitywy i malarzy impresjonistów, podróże których umie opowiadać, i język francuski”. Largnier uważa, że do Louis Gillet, jako krytyka, można zastosować zdanie jednego z wielkich romantyków o Paul de Saint-Victor, że chętnie napisałoby się całą książkę, aby dać mu okazję do napisania jednej strony.

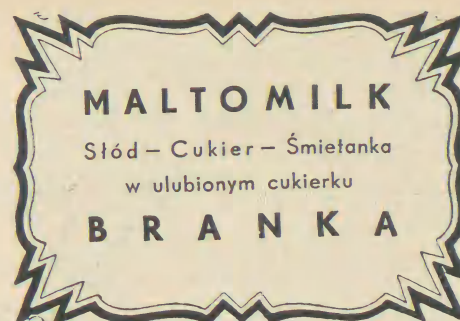
Od najwcześniejszej młodości życie stykało Louis Gillet z ludźmi, którzy czasem stali się sławni. Jego profesorem retoryki był René Doumic (który został teściem swego dawnego pupila). W Ecole Normale wykładali Jo-

seph Bédier i Romain Rolland, który prowadził kurs historii sztuki. Gillet sam wśród swych pism najwyżej ceni prace o sztuce i pełen jest wdzięczności dla owego „młodego profesora, który mówił tak dobrze w prawie pustej sali”...

*

Georges Duhamel, którego kandydatura pojawiła się zaledwie przed tygodniem, został wybrany dopiero w czwartym głosowaniu. Była nawet chwila, po pierwszym głosowaniu, gdy dreszcz lęku ogarnął zebranych, czy aby Duhamel nie padnie ofiarą tego samego spisku, który obalił kandydaturę p. Paul Claudel. Jednak wynik ostateczny przyniósł Duhamel'owi zwycięstwo. Zwycięstwo zasłużone — bo jest to człowiek wielkich wartości. Redaktor „Les Nouvelles Littéraires”, Maurice Martin du Gard poświęca mu artykuł, zaznaczając na samym wstępie, że Duhamel to jeden z najszlachetniejszych tyków Francuza.

Duhamel to, — jego zdaniem, — ucieleśniona równowaga. Jedną jedyną rzecz posuwa do krańcowości, a jest nią zamiłowanie do pracy doskonałej. Jest zwolennikiem indywidualizmu i wolności. Pełen dobrotliwej uwagi, udziela rozumnych rad, uczy cierpliwości i nadziei. Jeśli moralizuje i nie znosi opozycji, ma do tego prawo, bo „w rzeczach stylu, jak również moralności, jest nieskazitelnym”. Odznacza się powagą żywą naogół i jakby lekką i ogromną wiedzą lingwistyczną. Każda chwila jego życia pulsuje radością i pracą. U-



wielbia muzykę (sam gra doskonale na flecie, a jego synowie komponują). Przedewszystkiem Bacha, a potem Beethovena, Debussy'ego, Chausson'a.

Duhamel zaczął jako robotnik-zecer. Obfita lektura, długie podróże piesze po Europie, zawód lekarza, wykonywany, jak misja apostołska — oto życie Duhamel'a do wojny. Podczas wojny był szefem ekipy chirurgicznej. 50 miesięcy frontu, 2,300 operacji, 4.000 rannych leczonych — oto świadectwo czynu.

Od ukazania się „Życia męczenników” stale pisze. W postaci Salavin'a stworzył nieśmiertelny typ człowieka, który jest zdemoralizowany wyobraźnią bez granic i nie-
możnością poprawy. Podziwu godna jest umiejętność obudzania tak silnego zainteresowania czytelnika w człowieku pozbawionym wszelkich cech interesujących.

„La Chronique des Pasquier” zajmuje się środowiskiem drobnej burżuazji, walczącej z szarżą życia zapomocą rozrywek intelektualnych.

Wszystkie pisma Duhamel'a, to dzieła człowieka par excellence uczciwego i szlachetnego.

L. Buyno.

**ŻĄDAJCIE WSZĘDZIE,
WYBOROWYCH**

WÓDEK GATUNKOWYCH

FABRYKI „SUCHOWOŁA”

SEWERYNA KSIĘCIA CZETWERTYŃSKIEGO



Tola Mankiewiczówna, stanowi clou ostatniego programu w „Hollywood”.

TEATR HOLLYWOOD

Rewja „Warszawa — New - York”.

Ostatni program stoi na wyższym poziomie, niż poprzedni. Idąc powoli ale systematycznie coraz to wyżej, może w połowie 1936 r. nie będziemy mieli już nic do zarzucenia temu zresztą skądinąd miłemu teatrykowi, cieszącemu się dużą popularnością.

Zasadniczą zaletą „Wesołej podróży” na statku Piłsudski jest konferencjarka prowadzona przez Toma i Bodo. Była przez jakiś czas moda układania numerów w ten sposób, że „zapowiadacz” był niepotrzebny. Szczęśliwie po tej formie przejściowej oba nasze teatry rewjowe powróciły do dawnego systemu. Rozmowy Toma — Parisera (dawniej nazywał się Berliner — teraz jest to niebezpieczne) i Boda (Ras Fajgeles) wzbudzają na widowni wybuchy śmiechu. Obaj panowie jadą do Ameryki „zrobić pieniądze”. Tom wiezie artystyczną trupę, która występuje na statku, Bodo zaś dostarcza broni Abisynji.

Podczas długiej podróży powstaje między nimi przyjaźń, o której Bodo śpiewa „Je me sens dans tes bras si semite”.

Najlepszym obrazem jest bal kapitański, uświetniony popisami pasażerów statku.

Uroda, wdziek i piękne suknie Mankiewiczówny starają się uratować słabe teksty. Bardzo miła jest melodia „Barkaroli miłości”, osnuta na włoskiej canzonie. Niesamowite akrobacje Filonówny mrozą krwawo w żyłach i nadają się raczej do cyrku, niż do teatru.

Alicja Halama i Rakowiecki zabawnie i miło odtwarzają lekcję śpiewu z przed 50 laty. Halama dobrze ucharakteryzowana z wdziękiem ćwiczy najtrudniejsze gamy i koloraturki. Na zakończenie balu niezrównany Lopek, wymęczony kołysaniem statku, skarży się publiczności na swój los „dlaczego ja jadę? — dla mojej przyjemności”.

Druga część przenosi nas na Broadway, gdzie tempo życia mknie z szybkością 200 klm. na godzinę.

Ślub, porwanie dziecka, interwencja policji, odnalezienie zguby, zdrada małżonka — wszystko przesuwają się jak w kalejdoskopie. Dobre i pomysłowe są kostjomy, skomponowane z gwiazdzistego amerykańskiego sztandaru.

Największe oklaski zbiera Bodo jako biały murzyn. Smutna i zawodząca melodia angielskiego slow-foxa ma w nim doskonałego odtwórcę.

W dalszym ciągu, jakby podtrzymując



tradycję „Morskiego Oka”, kostjomy i dekoracje opracowane są bardzo starannie. Zresztą pomysły artystyczne Geny Galewskiej są zawsze ładne i kulturalne.

H.

Z teatru Kameralnego

Kierownictwo Teatru Kameralnego pozostawia na afiszu jeszcze tylko kilka dni niezwykle ciekawą sztukę Ibsena „Budo-wniczy Solness” w której rolę tytułową kreuje KAROL ADWENTOWICZ. „Budo-wniczy Solness” ustępuje w najbliższych dniach miejsca znakomitej komedji Jaro-szyńskiego p. t. „SĄSIADKA”.

W nadchodzącą niedzielę 8 grudnia po południu o godzinie 4-ej po cenach w y b i t n i e zniżonych grany będzie „Ponad śnieg” St. Żeromskiego po raz 44-ty. Będzie to ostatnia okazja zobaczenia tego potężnego dzieła naszego znako-mitego pisarza.

KARMELKI
OD ŻŁ. 4 KG.

FRANBOLI



W Hollywood
konferencjarkę
prowadzą
Tom i Bodo.

fot. Brzozowski

Popularny
COGNAC
MONTBEL
ZADAĆ WSZĘDZIE

Fabryka Trykotaży
Jan Matuszewski
102 Marzalkowska 154
33 Chmielna 40 Nowy Świat



Na ulicach Paryża w dniu święta pracownicy igły t. zw. „Katarzynki” obrzucały posterunkowych kwiatami i confetti

Niewykorzystane tereny narciarskie Góry Świętokrzyskie

Trudno jest czasami wybrać się do Zakopanego. Na przeszkodzie staje często — odległość.

Wybudowanie drogi żelaznej Warszawa — Radom skróciło drogę do Kielc o przeszło godzinę i — „odkryło” ogromne możliwości rozwoju narciarstwa polskiego w Górach Świętokrzyskich.

Że do tej pory tereny te były tylko tematem tysiąca pięknych legend, a mknęły po ich drogach tylko — kuligi — tak cudownie opisane w „Popiołach” Żeromskiego — złożyło się na to wiele przyczyn.

Brak wygodnej komunikacji i całkowite zaniedbanie przemysłu gospodniego w Górach Świętokrzyskich sprawiły, że wiemy o nich bardzo mało.

Warunki w pełnym sezonie zimowym, w sercu przyszłych terenów narciarskich, jak okolice Św. Krzyża, Św. Katarzyny, Mąchocie, Ciekot i t. d., są znakomite.

Kluby sportowe Kielc i okolic muszą stanowczo wyjść poza granicę lokalnej konkurencji, a ciężką swych zawodników udowodnić wspaniałe zimowe warunki, z jakich korzystają w Górach Świętokrzyskich.

Każdy z nas widział olbrzymie masy ludzi, walczące na dworcach o miejsca w pociągach idących do Zakopanego i każdy zrozumiał, jaką olbrzymią siłę posiada w sobie „śnieżne szaleństwo”.

Ci, którzy przybędą raz w Góry Świę-

ODOL

pasta do zębów

Palacze, chcąc uchronić zęby przed brzydkim zabarwieniem, muszą czyścić je systematycznie codziennie pastą do zębów ODOL. Pasta do zębów ODOL zapobiega tworzeniu się osadu nazębnego i brzydkiego zabarwienia zębów oraz wydzielaniu nieprzyjemnego zapachu z jamy ustnej.

czyszczy i konserwuje zęby

tokrzyskie, znajdą napewno warunki do wyładowania swych zdrowych namiętności i napewno wrócą nie sami już — lecz w licznej gronie towarzyszków.

Kto raz zobaczy wysmukłe jodły i szczyty zakłute w cudowną bajkę zimy, ten o Górach Świętokrzyskich nigdy nie zapomni i wróci tam i w zimie i w lecie.

Nie tylko dla nas, ale i dla cudzoziemców — Góry Świętokrzyskie mogą i powinny stać się ośrodkiem wielkiego ruchu turystycznego.

Schronisk jest już dwa: w Mąchoicach „Ameljówka” i u stóp Św. Katarzyny (bez specjalnej nazwy). Na początek musi to wystarczyć.

Miejmy nadzieję, że już niedługo wtoczy się na dworzec w Kielcach pociąg popularny „Narty — dancing — bridge” na otwarcie I sezonu narciarskiego w Górach Świętokrzyskich.

Z wagonu wysypią się liczne rzesze, by potem śmiałym łukiem nart opasać nowe tereny zdobyte dla tego zdrowego z najzdrowszych i szlachetnego z najszlachetniejszych sportów.

Zamieszczone w numerze 48-ym zdjęcia ze ślubu księżniczki Róży Czwertyńskiej z hr. Zyberk - Platerem, zostały wykonane przez J. MALARSKĄ.

Pani Stanisława Welska z mężem p. Stanley Norton na termie w Transwaalu na granicy Mozambiku.



KAWA ARABIA

PRZEZ PŁONĄCĄ ŚCIANĘ

Pokaz akrobacji na samochodach

W niedzielę, dnia 1 grudnia, Automobilklub Polski zorganizował na terenie lotniska mokotowskiego pokaz akrobacji samochodowej. Impreza ta była wielką manifestacją przeciw zaniedbaniu, w jakim znajduje się praktycznie motoryzacja i stan dróg u nas. Dzięki pięknej pogodzie na lotnisko przybyły tłumy publiczności, sięgające kilkudziesięciu tysięcy. Tak liczna frekwencja dowodzi, jaką sensację budzi obecnie w Polsce samochód. Sam pokaz rewelacją nie był. To samo już wielokrotnie widzieliśmy na licznych dodatkach filmowych.

Niestety organizacja imprezy zawiodła całkowicie. Być może, że tak masowy napływ publiczności nie był przewidziany przez organizatorów, ale ustawienie zaledwie dwóch kas było nieopatrnością. To też przed kasami utworzyły się naprzód ogonki, rosnące z każdą chwilą, potem uczynił się tłok, a w końcu przed okienkami zgromadził się tłum, usiłujący za wszelką cenę zaopatrzyć się w bilety. Liczne zastępy policji przypatrywały się obojętnie bałaganowi i walkom wręcz przed kasami, a z chwilą, kiedy uznano za właściwe przywrócić porządek, było już zapóźno. Tłum zerwał kordon i niepowstrzymaną falą popłynął w stronę miejsc stojących.

Pokaz zaczął się z przeszło półgodzinem opóźnieniem i trwał długo, dużo za długo. Panowie Campbell i Miller jeździli naokoło, rozgrzewali motory, zatrzymywali się, czekali na poprawienie i ustawienie odskoczni, a publiczność czekała i marzła. Wreszcie pojechali. Szybkość reklamowa „około stu kilometrów na godzinę” w zetknięciu z rzeczywistością spadła do 40 — 60, wysokość przeszkód i

skoków uległa również poważnej redukcji. Po kilkunastu okrążeniach, urozmaiconych rzadką podskokami i przechyleniami, nastąpił „gwóźdź” programu: Skok przez płonącą ścianę. Przez kilka-naście minut strażacy polewali deski benzyną, a publiczność czekała. Sam skok był nawet efektowny. Samochód z trzaskiem przebił płonące deski, złamał sobie sztangę kierowniczą i pojechał do reparacji, która (trzeba tu pochwalić mechaników z Auto-Service'u) trwała bardzo krótko. Na zakończenie p. Campbell przewrócił z zarzucania swego Chrysler-Plymouth'a i publiczność rozeszła się z lotniska.

Sam pokaz był dobrą reklamą resorów i stalowej karoserji.

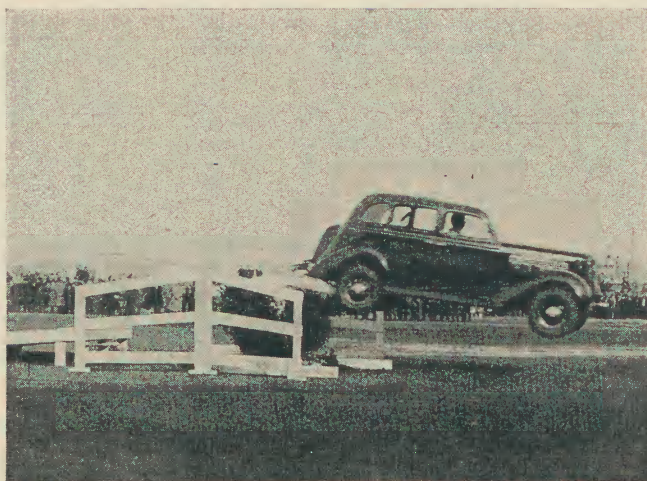
Mamy wrażenie, że gdyby sympatyczni amerykańscy pojeździłi uprzednio po słynnych polskich drogach, uznaliby niechybnie, że pokaz taki nie jest dla polskich kierowców rewelacją. Jest to poprostu trochę wyolbrzymiony skrót tego, co przeżywa polski automobilista na rodzimych wybojach. A skrót, żeby był dobry, powinien być krótki.

Nastrój świąteczny

przyczynia się do spotęgowania radości, odczuwanej wskutek wzajemnego obdarowywania się w wieczór wigilijny. Nie pomija się tej okazji, by czemkolwiekby wywołać objawy radości i zadowolenia, towarzyszące uczestnikom uroczystości rodzinnych, zwłaszcza wtedy, gdy gościnnie pani domu poda do kawy znakomite ciasta lub wysmienity tort OETKERA. Spożywając je z radością, odczuwa całe kółko nietajoną wdzięczność dla pani domu za doskonale pieczywo OETKERA, smaczne i lekkostrawne.

Wirtuozi kierownicy na pokazie w Warszawie:

J. Campbell i Miller.



Kapelusze-piśniowe

Miodkowski

PI. SKRZYŻY 18,
MARSZAŁKOWSKA 92

PRZEBORY PODRÓŻNE
GALANTERIA SKÓRZANA
J. KUCZMIEROWSKI
108 MARSZAŁKOWSKA 108

Gruźlica płuc jest nieubłagana i corocznie, nie robiąc różnicy dla płci, wieku i stanu, pociąga bardzo wiele ofiar.

Przy zwalczaniu chorób płucnych, bronchitu, grypy, uporczywego, męczącego kaszlu i t. p., stosują pp. Lekarze „BALSAM TRIKOLAN AGE” (dawniejsza nazwa „Balsam Thiocolan Age”), który, ułatwiając wydzielanie się płwociny, usuwa kaszel, wzmacnia organizm i samopoczucie chorego. Sprzedają apteki.



PIERWSZA LECZNICA
Kosmetyczna i Chorób Włosów
Dr. med. M. Biernackiej i Dyr. I. Kisielewskiej
Warszawa, Szopena 16.

Czem w budżecie jest kontrola
Tem dla zdrowia bywa „OLLA”

OLLA
„Gum..!”

CHORE NERKI to zepsute filtry organizmu

Oddają bowiem one pęcherzowi mocz źle przefiltrowany, wpływając przez to na zatrucie organizmu wskutek niewydalania zeń szkodliwych substancji.

Zioła Magistra Wolskiego „Urosa”, zawierające rzadką roślinę indyjską Ortosiphonia o własnościach moczopędnych i dezynfekcyjnych pobudzają nerki do prawidłowego działania. Stosują się przy cierpieniach nerek, miedniczek nerkowych, pęcherza i wszelkich dolegliwościach dróg moczowych.

Zioła ze znak. ochr. „UROSA”

do nabycia w aptekach i drogeriach (składach aptecznych).

Wytwórnia Magister E. Wolski, Warszawa, Żłota 14, m. 1.

To już przysławie:

MODNE TKANINY

CWEJKO

TANIO SPRZEDAJE

ŻYCIE W KOLORACH

POWIEŚĆ

Każdy nowy prenumerator „Świata“ otrzyma początek powieści W. Bunikiewicza „Życie w kolorach“, której druk rozpoczęliśmy w październiku.

— Pojmuję was doskonale, konsiprujecie się, a zatem nie możecie być białym, gdyż biali są ulubieńcami profesorów i księdza, przeto nie potrzebują się ukrywać tak, jak Promieniści. Chodźmy!

Mówiąc to, szarpnął mnie za rękaw i wywiódł bocznymi drzwiami przez kuchnię i podwórze na ulicę, obiecując zapoznać z towarzyszami i wpisać do partji.

Właśnie miało się odbyć w mieszkaniu kolegi Zdzisia Reicha pierwsze powakacyjne zebranie „Promienistych“, a przy tej sposobności zapowiedział kolega Franek Dutkiewicz, sława przyrodnicza Wisłocka, referat o ptakach wędrownych.

Prelegent poruszył wiele zajmujących szczegółów z życia bocianów i sójek, przeplatając je gęsto porównaniami, które wywoływały entuzjazm.

Mówiąc o tułaczem życiu ptaków, nie omieszkął nadmienić, iż podobne jest ono do doli sztubackiej, albowiem niektórzy uczniowie i niektóre ptaki wybierają się jesienią na wędrowkę, nie wiedząc, w jakim miejscu znajdą gościnę i gdzie przezimują.

Mówiąc te słowa, zwrócił się kolega Dutkiewicz w moją stronę, a zebrani zrozumieli aluzję, gdyż wynagrodzili ją rzesistemi oklaskami.

Mówca, zachęcony uznaniem, wiódł swą rzecz dalej, a gdy nadmienił, że biedny, uciśniony proletarjat w poszukiwaniu pożywienia gromadami ucieka za morze, podobnie jak ptaki wędrowne, zerwały się gromkie okrzyki i prelegenta podniesiono do góry, co mogłoby się smutnie skończyć, gdyby nie wniosła służąca ogromnej tacy, zastawionej szklankami z herbatą i pajdami chleba z powidłami.

W ten sposób mama Zdzisia wkraczała w najbardziej wrzący punkt obrad i zgromadzenia u kolegi Reicha kończyły się zawsze zgodnie i bez tumultu.

Obojętnie tylko w całym zebraniu zachowywał się kolega Wilezycki i na wzmiankę o proletariacie wykrzywił grymasem usta, uśmiechając się zjadliwie.

Nie dziwnego, był ludowcem, lecz z Promienistymi utrzymywał zażyłe stosunki, albowiem urządzali amatorskie przedstawienia po okolicznych wsiach i miasteczkach.

Nie było zaś w całym Wisłocku lepszego Kor djana, a kto wie nawet czy nie Hamleta.

Wilezyckiego zwabiła na odczyt Dutkiewicza ważna okoliczność.

Zabiegał o urządzenie w niedalekiem miasteczku Tyczynie przedstawienia amatorskiego.

Po pierwsze, cel był społeczny, a powtórę, przedstawienie miało się odbyć na życzenie pewnej uroczej damy, poznanej w czasie wakacji.

Dama stanowczo wymagała teatru i to nie byle jakiego, lecz takiego, któryby robił niezwykle



NOWY AKTYWNY

KREM

FENOMEN

Krem jakiego dotąd nie było. Jest wytworem najnowszych naukowych badań chemicznych.

Idealnie spełnia swoje zadanie: Nadzwyczaj szybko przenika tkanekę skórą, gruntownie zmiękcza cerę, wygładza ją i nadaje twarzy świeży, delikatny matowy wygląd.

Wyrabiany jest w dwóch odmianach: **półtłusty i beztłuszczowy**. Ten ostatni nadaje się również i pod puder. Cena zł. 1.20.

WARSZAWSKIE LABORATORJUM CHEMICZNE SP. AKC.

Żądać we wszystkich perfumerjach i składach aptecznych

wrażenie, porwał dusze i o ile możliwości natychmiast przemienił widzów w aniołów.

Wielki był kłopot z przedstawieniem, albowiem zabrakło w zespole cara Mikołaja, którego grywał z ogromnem powodzeniem maturzysta Ciop, obecnie student teologii.

Promieniści zrozumieli powagę sytuacji. Gdybyż jeszcze przedstawienie miało się odbyć w Ryczynie, Godowie lub Przybyszówce, możnaby jeszcze zaryzykować, ale jechać na niepewne z nowym carem do Tyczyna, mało kto się ważył.

— Ona zna się doskonale na sztuce i jest znakomitą pisarką. — mówił kolega Wilezycki, — koresponduje z Przybyszewskim i Wyspiańskim, a Żelazewski pocałował ją w czoło za rolę Heddy Gabler, którą odegrała na próbie w Teatrze Niezależnych.

— Gdyby tak łupnąć Ibsena?

— Ostatecznie może być i Słowacki, choćby nawet bez Ciopa.

— A możebyście wy, kolego, objęli tę rolę, — zapytał Wilezycki, zwracając się ku mnie, raczej

z grzeczności, niż w nadziei, że zgodzę się na jego propozycję.

— I owszem, mam jakie takie doświadczenie teatralne, — odrzekłem pełen godności i powagi.

— Naturalnie, że ma i występował nawet w lwowskiej operze, — dorzucił od niechcienia kolega Szczurek, dumny, iż taki brylant wyłowił dla Promienistych.

Przez kilka dni o niczym innym nie rozprawiano wśród poetów, muzyków, artystów, artystów scenicznych i zakochanych z dworów przy ulicy Krakowskiej, jak o tajemniczej damie, na której życzenie ma się odbyć przedstawienie dramatyczne.

Nie mało też zajmowali się tem przedsięwzięciem politycy, starając się wybadać, na jaki cel publiczny przeznaczony będzie dochód z przedstawienia. Nikt jednak nie wątpił, że widowisko wypadnie znakomicie, choć złośliwy Jasiek Wyk odzywał się z przekąsem:

— Wątpię, czy ta dama jest damą, albowiem ludowcy są wogóle naiwni, jako stronnictwo młode i niedoświadczone, więc łatwo wziąć mogą pozory za rzeczywistość.

Choć życie szkolne poczęło się toczyć normalnym torem, wyłoniło się jednak tyle innych zajęć, że niepodobna było wejść w zwykłe tryby.

Nauczyciele srożyli się, jak to bywa zwyczajnie na początku roku, ale w tych srogościach czuć było odrazu za wysoką nutę, której napewno nie dociągną do końca.

Zresztą, któż się troszczył o takie drobiazgi, jak stopień z odpowiedzi?

Wiadomo było, że wszystko ułoży się dobrze, jeśli nie zaraz, to przy końcu kursu, tak jak co-rocennie, chyba, żeby komuś z kolegów osłabł zupełnie rozum, na co się wcale nie zanosilo.

Energicznie więc zabrano się do prób, aby godnie wystąpić w Tyczynie, energję zaś podniecały listy od panny Irmy, która szturmowała Wilczyckiego, by nie zrobił jej zawodu.

Z listów tych mogliśmy poznać, że Irma była niezwykle kobietą.

Dużemi literami, skreślonemi fioletowym atramentem na blade różowym papierze, donosiła, iż bratnie dusze spotykają się zwykle przypadkowo i do takiego przypadku należy poznanie Tadzia w Tyczynie, dokąd wyjechała na wakacje.

Przekonanie nasze o nadzwyczajnych wartościach panny utwierdzało się jeszcze bardziej, gdy przybyliśmy do Tyczyna w przeddzień przedstawienia.

Irme zastaliśmy w mieszkaniu jej ciotki, pani Maczałowskiej.

Bohaterka spoczywała właśnie na leżaku przed domem. Ubrana była w czarną obeisłą suknię, której jedyną ozdobę stanowiła trupia główka, wpięta jako brosza.

Irma nie wypuszczała z ust papierosa i zaraz na początku rozmowy oznajmiła nam, że odżywia się wyłącznie absyntem i czarną kawą, albowiem pracuje nad dziełem z dziedziny teorii poznania i zastanawia się właśnie nad kwestją absolutu w muzyce Chopina, albowiem jest dekadentką i posiada nagą duszę.

Poza tem ma jeszcze wiele innych spraw na głowie, któremi obarczył ją towarzysz Burda, du-



chowu brat Nietzschego, jeden z najgenialniejszych ludzi, jakich kiedykolwiek spotkała w życiu.

Panna Irma, ulegając woli geniusza, który wymyka się z wszelkich ludzkich określeń, zajęła się urządzeniem wieczoru, którego dochód przeznaczono na poratowanie uchodźców politycznych z Królestwa.

Gdyby nie towarzysz Burda, na pewno nie tknęłaby się tej pracy, albowiem mało posiada wyczucia dla spraw społecznych i gwizdze na trzodę ludzką.

Program wieczoru jest już ułożony.

— Słowo wstępne ofiarował się wygłosić miejscowy proboszcz, ale odrzuciłam jego usługi ze względów zasadniczych, — rzekła panna Irma, zwracając się do Wilczyckiego. — Musi więc pan przemówić do zebranych i wypowiedzieć programowy wiersz, któryby wzruszył słuchaczy.

— Powiem „Odę do młodości“, lub „Redutę Ordona“, albo „Smutno mi Boże“ Słowackiego, — odrzekł skromnie Tadek, przygotowując sobie najulubieńszy swój repertuar deklamacyjny.

— Dzieciństwo, starzyzna, — cedziła przez zęby niezadowolona dama, — wiersz musi być ideowy, płomienny a zarazem nastrojowy i współczesny. Jeśli go nie ma, trzeba stworzyć!...

Tadek opuścił melancholijnie głowę, czując przytłaczający go ciężar, ale panna Irma zadecydowała:

— Zamknie się pan na całą noc w saloniku cioci, a rano odczyta mi wiersz, tymczasem zajmujemy się przygotowaniem sali.

Do wieczora wszystko było gotowe, a gdy nad-
szedł czas spoczynku, zabrał się Tadek do skompo-
nowania sonetu.

Panna Irma usadziła go przy stole, na którym
leżało sporo ćwiartek papieru i pudło papierosów.

Całą noc pisał nieszczęśliwiec, zalewając się
krwawym potem, dał papiery i przepisywał, od-
twarzał z strzępów lekkomyślnie pogardzone ry-
my i porzucał znów wzgardzone.

Rankiem zastano go jeszcze przy pracy, koń-
czył ostatnią strofę, był żółty ze znużenia i otoczony
kłębam dymu tytoniowego, który nie mogąc
się już zmieścić w saloniku cioci, wypełzał szczeli-
nami na korytarz i napelniał całe mieszkanie.

Prolog był gotów, ale zdechł kanarek w klat-
ce, ku straszliwej żałości domowników.

Na Wilezyckiego spoglądano jak na morder-
cę, a Irma nie próbowała go nawet tłumaczyć,
Lecz wieczór wypadł świetnie.

Sonet trafił wszystkim do przekonania, ale
największe wrażenie wywołał Kordjan.

Tadek grał z takim uczuciem, iż ploszyły się
konie na ulicy, a pewien marynarz, bawiący wła-
śnie w Tyczynie na urlopie, rozповідаł z uzna-
niem, iż silniej nie grzmi nawet trąba okrętowa.

W pewnej tylko chwili zamarło mi serce i gdy-
by nie geniusz panny Irmy, mogła nastąpić po-
wszechna klapa i dobra moja sława pogrzebanaby
była na wieki.

Wojtek Żarzycki, do którego należała troska
o kostjumy, zapomniał zabrać spodnie dla cara.

Ostatecznie obeszłoby się bez nich, bo wielki
książę i cesarz mogli je sobie wypożyczać, ale w
końcowej scenie dramatu dwaj wysoko urodzeni
bracia spotykają się oko w oko.

Katastrofa była więc nieunikniona. Lecz gen-
jusz Irmy zarządził:

— Cesarz w spodniach stanie na scenie, a
wielki książę bez spodni ustawi się za oknem i po-
każe tylko pół figury.

Reżyserja uratowała sztukę i tryumf odnieśli-
śmy zupełny.

**

Cel, na jaki oddano zarobione w Tyczynie pie-
niądze, znalazł w Wisłocku powszechne uznanie.

Biali zasadniczo niby protestowali przeciw po-
pieraniu rewolucji, ale w gruncie rzeczy sprzyjali
tej chlubnej myśli, że despotyzm należy obalić i
złączyć się do wspólnej walki.

Podobnie jak w szkole.

W takich bowiem chwilach, gdy nauczyciel
wyrwał kogo niespodzianie do odpowiedzi i nad
nieszczęśliwcem zawisło widmo dwóji, nie zważano
na żadne uprzedzenia i najzjadliwszy Biały pod-
suwał Promienistemu ściągaczkę, a każdy Promie-
nisty niósł pomoc Białemu, narażając się na osta-
teczności.

Co innego na wiecu, lub przy politycznej ro-
bocie, wtedy nie było pardonu. Wobec wspólnego
niebezpieczeństwa niknęły waśnie.

Przedstawienie w Tyczynie miało doniosłe na-
stępstwa.

Panna Irma przeniosła się niedługo potem do
Wisłocka, gdzie miała inną ciotkę i mogła spotykać
się częściej z towarzyszem Burdą, który nienale-



życie doceniany przez pospolitych gryzoniów w
Tyczynie, nie mógł tam uzyskać posady.

Poznano się jednak na nim w Wisłocku i za-
mianowano go urzędnikiem w jednej z miejskich
instytucyj.

Niedługo po tych przenosinach zjawili się w
mieście dziwni ludzie o dobrodusznym twarzach
i niewidzianych dotąd czapkach na głowie.

Chronili się pod opiekę towarzysza Burdy,
któremu sekundowali mecenas Elzling i towarzysz
Okienko.

Spokojni zaś wisłoczanie poczęli przeżywać
niezwykłe wrażenia.

Kiedyś o wczesnym ranku usłyszano w pobliżu
ogrodu miejskiego odgłosy strzałów.

Jedni twierdzili, że było ich kilkanaście, inni
naliczyli kilkadziesiąt, a niektórzy słyszeli najwy-
raźniej salwy.

Najwidoczniej przygotowano coś bardzo waż-
nego i strzelanina nie była bez kozery. Coraz czę-
ściej zdarzało się, że ten lub ów uczeń przycho-
dził do szkoły umęczony i zziębnięty, jakby przy-
najmniej pół nocy wyprawiał harce po polach.

Jeśli z tego powodu nastrój w mieście nazwać
by można było podnieconym, to w handelku u Jaś-
kiewicza zapanowała panika.

Rezydował tam stale naczelnik wisłockiej
straży bezpieczeństwa, pan Schieber i z prawdzi-
wym niepokojem wsłuchiwał się w prognozy, jakie
stawiali doświadczeni politycy.

Nie ulegało wątpliwości, że zanoszą się w Euro-
pie na coś poważnego, a złym duchem miasteczka
są rewolucjoniści, zbiegli z Kongresówki.

— Właściwie należałoby przybłądów natychmiast wypędzić z Wisłocka, — mawiał naczelnik Schieber, — lub zakutych w kajdany odstawić do granicy, a tu jak na złość, wisłoczanie przyjmują ich w swych domach, wspomagają i dają pracę, która upoważnia niebezpiecznych mścicieli pokój do stałego osiedlania się w mieście.

Wiadomo, iż wisłoczanie czynią zawsze na złość nie tylko policji, ale nawet najjaśniejszemu panu cesarzowi.

— Właśnie wczoraj drukarz Arway przyjął do swego zakładu dwóch takich łazików — sierdził się pan naczelnik, wyrzekając na nielojalność obywateli.

— Niechby spróbował ich nie przyjąć — odezwał się sympatyzujący z rewolucją dr. Nyc, cisnąłby bombę w drukarnię, a tegoby jeszcze brakowało w Wisłocku.

— Naturalnie, nie było innej rady, — potwierdzili obecni, przypominając naczelnikowi Schieberowi znaczniejsze wypadki teroru rewolucyjnego od czasu faraonów egipskich aż po ostatnie chwile.

Nie więc dziwnego, że pan Schieber stał się ostrożnym i z handelku umykał wprost do domu, starając się jak najmniej pokazywać wieczorami na ulicach, aby nie wywoływać nieszczęścia.

Przezorność naczelnika wybornie wykorzystywali podwładni.

Pan wachmistrz groził rozbijaniem paszczek, łamaniem kości i wyrzucaniem ze służby, ale płonne były pogroźki.

Policjantów opanował zły duch, pili i wymyślali na psią służbę, odwracając się na widok złodziejasków i wszelakiej hołoty.

Tymczasem w spłoszoną duszę Schiebera uderzył straszliwy cios.

Chlubę i ozdobę wisłockiej policji, kaprała Podkówkę, znaleziono pewnego ranka w rynsztoku ulicznym.

Spoczywał, pozbawiony nie tylko broni, ale rozbrany do koszuli, a piękne jego buty, dopiero co zakupione przez komendę, dostrzeżono na dachu dwupiętrowego domu.

Podkówka leżał bez duszy, a gdy go cuesono, wybełkotał: — rewolucja, — poczem zapadł w głęboki sen, z którego się nie obudził, aż po dwudziestu czterech godzinach.

A gdy już odzyskał przytomność, nie mógł sobie przypomnieć niczego więcej, ponadto, iż w pośpiechu za pewnym zbrodniarzem wpadł do knajpy pod „Luftmaszyną“ i tyknął tam jeden tylko kuszyceczek na rozgrzewkę.

I ta kropelka taka była odurzająca, że choćby go zamordowano, nie wie, jak zablądził do rynsztoka.

Wyznania kaprała, znanego ze swej służbiści, napełniły duszę Schiebera przekonaniem, że przygotowuje się cały szereg aktów terrorystycznych, które do gruntu podważą podstawy państwa w monarchji austriackiej wogóle, a w Wisłocku w szczególności.

W takich niepewnych czasach należało działać dyplomatycznie i z Iwa przemienić się w lisa.

Stosownie więc do nowoobmyślanej taktyki, począł Schieber okazywać żywe sympatje socjalistom, promienistym, liberałom, a do przybłych z

Królestwa rewolucjonistów uśmiechał się życzliwie i wypytywał o warunki życia, ofiarując swą pomoc w razie potrzeby.

Zauważyć nawet było można, iż szukał zbliżenia do towarzysza Burdy, którego uważał dotąd za najniebezpieczniejsze indywiduum w Wisłocku.

Towarzysz Burda, czy nie chciał widzieć, czy też nie widział tych zabiegów, trawiony był bowiem osobistymi kłopotami, które mu zgótowała panna Irma.

Chwilowo zaprzestała studjów nad Chopinem i pomagała swej ciotce sprzedawać kawę i mleko w mleczarni, mieszczącej się tuż przy Bernardyńskim Kościele.

Niewielki to był lokal, woniejący kisnącym mlekiem, oparami kawy i kłębam dymu tytoniowego, lecz w Sezamie tym królowała Irma.

Ciężkie cierpienia przechadził Wileczycki, gdyż od czasu przyjazdu do Wisłocka Irma całkiem wyraźnie zwróciła swe uczucia do towarzysza Burdy, skoro jednak zjawił się w mleczarni młody nauczyciel gimnazjum, Orlicki, demon-kobieta przeniosła na niego swe łaski, lekceważąc niemal zupełnie dwóch haniebnie porzuconych wielbicieli. Wspólne cierpienie złączyło silniejszymi węzłami zawiedzionych, zwłaszcza, że Orlicki uchodził za przewodcę Białych, a do Promienistych odnosił się niechętnie.

Tryumfowali więc głośno Biali, że wódz ich taką przykrą dał nauczkę zarozumiałym Promienistym.

Nikt bowiem nie wątpił, że Irma jest nadprzyrodzoną istotą, a chociaż kolega Wyk odzywał się o niej sarkastycznie, nie nie wskórał swą złośliwością i porządnie naraził się obu stronnictwom politycznym.

Uciecha Białych wywoływała szewską pasję w skonfederowanych partiach postępowych i dochodziło skutkiem tego do poważniejszych zatargów, a w młodszych klasach rozbito sobie nawzajem kilka nosów i posiniaczono się niemało. Gdybyż jeszcze wchodził w grę sam Wileczycki, możnaby było przeboleć, lecz porażkę odniósł towarzysz Burda.

Tego było za wiele!

Żmija wdarła się w serca młodych towarzyszy, a niepowodzenie wodza odczuwali nie tylko jako osobistą obrazę, ale jako krzywdę wyrządzoną partji i całemu ruchowi postępowemu na świecie.

Obciążone takimi myślami przechodziło wieczorem grono sześcioklasistów wedle sezamu czarodziejki Irmy.

Zrzadka migotały uliczne latarnie, a jesienna mgła gęsto powlekała miasto, tłumiąc kształty domów i ludzi.

Z poza firanek przesłaniających okna mleczarni, mżyło światło, widocznie sen nie zmożył jeszcze bogini.

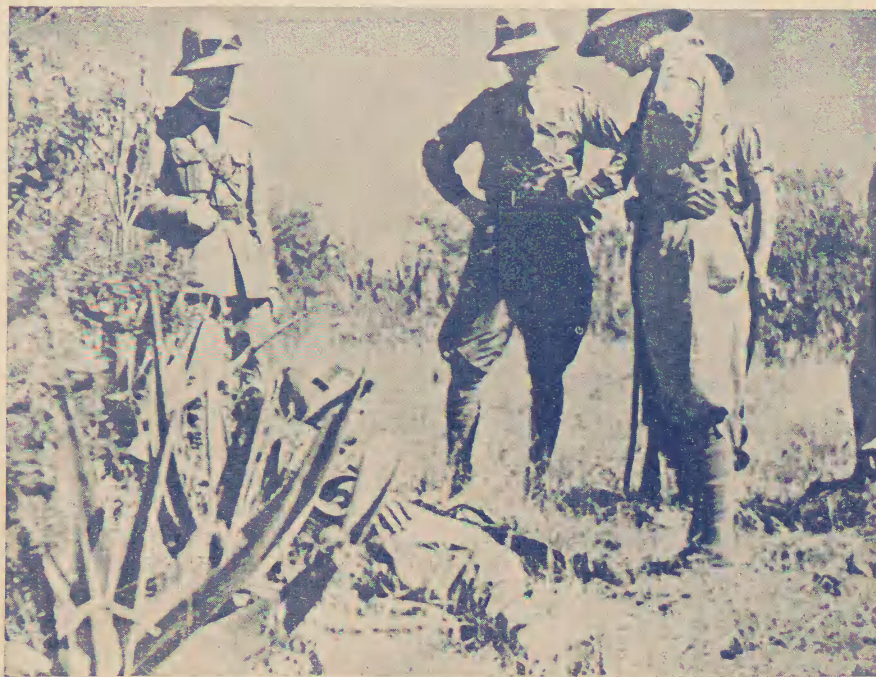
Czuwała i pewnie przedlała nie szczęścia jednemu, a zguby drugiemu.

Walek Nowak podsunął się pod samą szybę i przez szparę zasłony ujrzał obraz, który go onieміł.

Orlicki trzymał w objęciach Irme i obsypywał jej szyję i usta pocałunkami, a dziewczyna nie bronila się weale.

(c. d. n.).

PIĘKNA CERA? pudry CHERYS

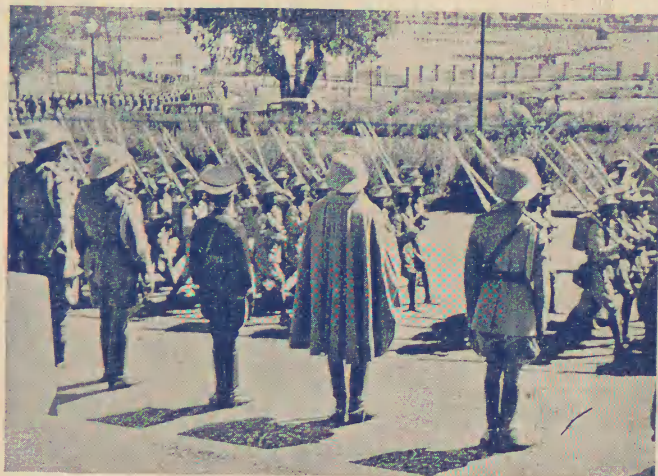


Księżę Pistoi na froncie pod Makalle odbył inspekcję sprawności transportu chorych i rannych.

MEBLE wykwintne poleca
w wielkim wyborze
S. RADELICKI



oraz
TAPCZANY
fotele klub.,
kuchnie
N. ŚWIAT 30
róg Pierackiego



Cesarz Abisynji dokonał rewji swych najlepiej uzbrojonych oddziałów.

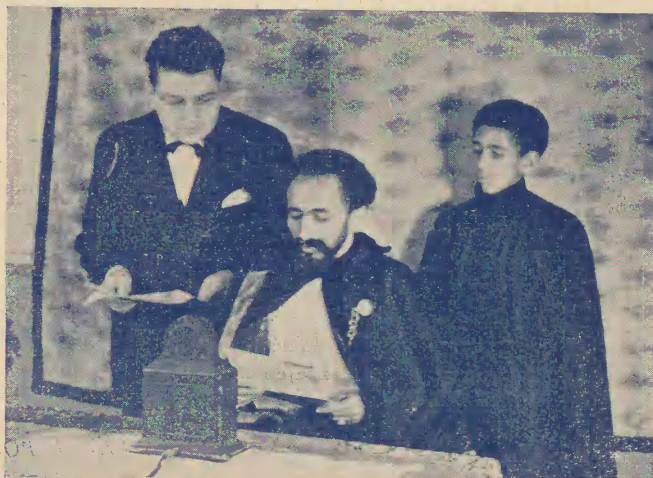
Toni von Schmidt i Magda Lenkey w Warszawie

Do przemitych podziemi Café Dancingu PARADIS przybyła Toni von SCHMIDT.

Prasa wiedeńska podkreśla, że na konkursie muzycznym jury składało się z najwybitniejszych profesorów świata muzycznego. — pierwszą nagrodę na 500 kandydatów uzyskała Toni von SCHMIDT z tytułem *die preisgekrönte Jazz-sängerin*.

Wraz z nią przybyła z Budapesztu świetna tancerka Magda von LENKEY. Jak już pisaliśmy Magda von LENKEY jest znana w świecie sportowym, posiada bowiem kilka rekordów w pływaniu. Na premierze w Warszawie występy Magdy von LENKEY były przerywane burzą oklasków. Obie te artystki występują w Café PARADIS, Nowy Świat 3.

Cesarz Haile Selassie przemawia przez radio ze swego pałacu w Addis Abebie



DBAJCIE O SWOJE ZDROWIE!
„SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” SĄ STOSOWANE PRZY KAMIENIACH ŻŁCİOWYCH I SKŁONNOŚCIACH DO ZAPARCIA. „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA” SĄ NATURALNYM, ŁAGODNYM ŚRODKIEM PRZECZYSZCZAJĄCYM, UŁATWIAJĄCYM FUNKCJE ORGANÓW TRAWIENIA, STOSOWANYM RÓWNIEŻ PRZY NADMIERNEJ OTYŁOŚCI.

ŚWIAT FILMU

„SZANGHAJ”. — „Światowid”.

Problem czystości rasy jest od dłuższego czasu w modzie, zawędrował nawet na ekran. Tym razem podano nam w przybliżeniu zagadnienie: czy biała kobieta może pokochać pół-azjatę. Tak nas przynajmniej informuje program. Niewiadomo, naco to komu potrzebne. Ale niech tam. Okazuje się, że może kochać i to podobno gorąco. Gorzej jest z tym pół-azjatą. Dymitr Kozłow, były oficer carski (czy ich aby nie zadużo?), syn byłego generała też carskiego i księżniczki mandżurskiej (niema to jak moda i aktualność!), pokochał piękną amerykańkę i ma niesłychane skrupuły, czy może się z nią ożenić. Walka duchowa trwa dwie godziny. W międzyczasie bohater robi błyskawiczną karierę: z kulisa awansuje na potentata finansowego, zdobywa miłość ukochanej i hamletyzuje. Dwa razy decyduje się na małżeństwo i dwa razy rezygnuje. Za każdym razem widz ma nadzieję, że to już nareszcie koniec i za każdym razem spotyka go zawód. Bohater rzuca stanowisko, traci cały majątek, ale to nic — za chwilę znowu wszystko będzie jaknajlepiej.

Szkoda takich aktorów na taki film. Charles Boyer w roli Kozłowa był doskonały. Miał przekonującą maskę obojętności azjaty, pod którą wyczuwało się głęboką tragedję. Dzielnie sekundowała mu Loretta Young jako powabna Barbara Howard. Znakomitym dyplomata chińskim był Warner Oland. Ale to nie wystarczy. Nudny i irytujący film włókł się w niezliczonych dłużyznach, aby dobić nas wreszcie pustym frazesem: „Nadejdą czasy, że wolni ludzie będą mogli ominąć przesady i kochać się bez dramatów”. Żałujemy, że nie nadeszły. Chętnie uniknęlibyśmy tego dramatu.

„SZEŚĆ LAT MIŁOŚCI” — „Rialto”.

Jeśli kto wybierze się na ten film, zachęcony jego tytułem, spodziewając się ujrzeć jakąś nowoczesną Solweję, która potrafi czekać na ukochanego... aż sześć lat, wyjdzie rozczarowany: nie widzimy bowiem wcale na ekranie owej wiernej i cierpliwej miłości, dowiadujemy się o niej tylko z rozmowy bohaterki z przyjaciółką. Dalej idzie wszystko — wbrew tytułowi — w tempie istic amerykańskim. Sprytna przyjaciółka umiejętnie przygotowała grunt i oto szef wielkiego domu

Scena z filmu
Peter Ibbetson
z udziałem
C. Coopera
i Anu Hardin.

(fot. Paramount)



handlowego żeni się ze swą sekretarką, której — jako kobiety — poprostu dotąd nie zauważał, a żeni się tylko dlatego, by nie utracić niezastąpionej w biurze pracownicy, doskonałej organizatorki. Ona jednak nie zgadza się na traktowanie małżeństwa z punktu widzenia handlowego i usiłuje zbudzić w człowieku interesu „instynkty męczyzny”, co jej się oczywiście po wielu perypetjach udaje. Scenariusz jest dość blady, ale reżyserja zręczna, a humor naogół dyskretny — z wyjątkiem sceny wybijania po-pijanemu szyb we własnych sklepach. Znakomite są natomiast sceny między bohaterką a nieznosną córeczką jej męża z pierwszego małżeństwa. Największą atrakcją filmu stanowi uroczą Claudette Colbert w głównej roli, odegranej inteligentnie, dowcipnie i z wielkim wdziękiem. Patrząc na nią, wypoczywamy po różnych rozwierganych gwiazdach amerykańskich. Bardzo dobra jest 9-cioletnia Edith Fellows, która odtwarza niegrzeczną dziewczynkę. Role męskie obsadzone nieciekawie.

„OSTATNI POSTERUNEK” — „Apollo”.

Film awanturyczny z posmakami egzotycznym, z pożarem dżungli i walką garstki białych z przeważającymi liczebnie watahami czarnych będzie podobał się głównie młodzieży. Starszą, bardziej sceptycznie nastrojoną część widzów będą razić niektóre dość naiwne skrót, i przypomną się jej liczne reminiscencje filmów dawniej widzianych: „Bengali”, „Marokko”.

W ogniu pożogi wojennej serca dwóch oficerów brytyjskich, rzuconych na ostatnie posterunki Azji i Afryki, przetapiają się na spż, na czystą stal szlache-tnych uczuć. Wspólny cel, honor wspólne-

go sztandaru każe im zapomnieć i pogrzebać dawne urazy osobiste. Dwaj ludzie, związani jednym uczuciem do tej samej kobiety, wybaczą sobie nawzajem w obliczu śmierci, aby spełnić żołnierskie zadanie: ostrzec maszerującą kolumnę przed zasadzką przemożnych sił wroga.

Akcja, przenosząca się z głębi Kurdystanu przez Kair do Sudanu, pozwala reżyserowi urozmaicić obraz przez wyzyskanie fotogeniczności i sugestywności krajobrazu. Widzimy znakomite technicz-

Wytworne krawiectwo męskie

H. LIPSZYC

Gmach Opery — Pod Filarami

nie zdjęcia przeprawy plemienia Kurdów wraz z całym dobytkiem przez wzburzoną górską rzekę i pełne niebezpieczeństw przedzieranie się przez niebotyczne góry. Wypoczywamy w wieczornym mroku w parku Kairu, aby za chwilę przenieść się do opuszczonego fortu, zagubionego w bezkresnych piaskach pustyni.

Nad programem dwuaktowa komedia z Busterem Keatonem razi dość niewyszukanym humorem mimo szeregu dobrych pomysłów.

J.

WIELE JEST ŚRODKÓW PRZECIWKO **HEMOROIDOM**,
WYNIK KURACJI ŚWIADCZY O ZALETACH UŻYTEGO ŚRODKA
OPK! „VARICOL” GĄSECKIEGO
STOSUJE SIĘ PRZY **BÓLACH, KRWAWIENIU**
SWĘDZENIU, PIECZENIU i INNYCH OBJAWACH
MEMOROIDALNYCH. — PRZY ZEWNĘTRZNYCH GUZACH
MEMOROIDALNYCH STOSUJE SIĘ **MASĆ „VARICOL”**

„VARICOL” GĄSECKIEGO NIE ZAWIERA SZKODLIWYCH SKŁADNIKÓW

DAN-
CING **PARADIS** NOWY-
ŚWIAT 3

W programie grudniowym występują: znakomita pieśniarka wiedeńska Toni von Smidt oraz słynna tancerka, mistrzyni świata pływackiego węgierka **Magda Lenkey**, śpiewaczka Wiera Gran oraz zespół baletu. Orkiestra **St. Ferszki**, na czele słynny skrzypek **Herman Rosner**.
Uwaga: Wprowadzona zostaje od dnia 1 grudnia w dni powszednie, za wyjątkiem dni świąt, i przedśw. ulgowa konsumpcja, zamiast zł. 2.50 — tylko 1.50, — wyłącznie dla gości przybywających między godz. 10 a 11 wiecz. celem umożliwienia obejrzenia programu wieczorowego i nocnego.

Redaktor **L. Chrzanowski**

Wydawca: „ŚWIAT” Spółka Wydawnicza z o. o.

Druk **Galewski i Dau, Warszawa**